Nr. 8. Lwów, dnia 16. listopada 1912. Rok I.

NOWY PRĄD

TYGODNIK POLITYCZNY, EKONOMICZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY i LITERACKI.

Adres Redakcji i Administracji Lwów, ulica św. Teresy (obok fundacji Domsa) III piętro.

Moskalofilstwo naszych narodowych demokratów.

„Słowo Polskie“ rzuciło pod adresem „Gazety Lwowskiej“ zapytanie „niewinne“, dotyczące wzmianki w zamieszczonym w niej (w N. sobotnim) w artykule wstępnym, wskazującej na nielojalność narodowych demokratów wobec Austrji. Zapytanie to było naturalnie udane, gdyż redakcja „Słowa“ w osobach panów Wasilewskiego i Grabskiego wiedziała doskonale o machinacjach Dmowskiego i Balickiego, którym zresztą nie od wczoraj współdziała.

Pozwolę sobie przypomnieć, że w broszurze swojej p. t. „Dokąd Idziemy“, wydanej prawie przed pół rokiem, ostrzegałem społeczeństwo nasze przed machinacjami wszechpolskimi w duchu rosyjskim, o których wspomniałem jeszcze w 1911 roku, w broszurze innej p. t. „Bankructwo Narodowej Demokracji.“

Dziś nie ulega wątpliwości, że wszechpolacy, opanowani manją wielkości, nie posiadający żadnego zmysłu orjentacyjnego w polityce — chcą rzucić społeczeństwo nasze w objęcia Rosji.

Przypatrzmy się teraz argumentacji „Słowa Polskiego“.

Wywody jego streszczają się w zdaniu, że, przy obecnym układzie sił politycznych, porażka Rosji byłaby dla nas klęską, z powodów następujących:

1) Królestwo, stanowiące dziś największy nasz zwarty teren etnograficzny — podzieloneby zostało na 3 części: jedna pozostałaby przy Rosji i znalazłaby się w położeniu gub. zachodnich; druga przeszłaby do Prus i ulegałaby giermanizacji, którą ułatwiłyby masy żydowskie, posługujące się żargonem; trzecia przeszłaby do Austrji i znalazłaby znośne warunki bytu. Naogół więc bylibyśmy stratni.

2) Wielki przemysł fabryczny, po podziale Królestwa, po utracie rynków rosyjskich — upadłby i dziesiątki, a może setki tysięcy robotników znalazłyby się bez środków do życia.

3) Pobicie Rosji pociągnęłoby za sobą przyłączenie do Austrji również gub. Podolskiej, co wzmocniłoby Rusinów, a osłabiło Polaków w monarchji Habsburgów.

Balicki, autor artykułu jako prawowierny narodowy demokrata mało czyta, i nie mogąc zbić wywodów swoich przeciwników, pomija je milczeniem.

Wywody autora „Egoizmu Narodowego“ nacechowane są dowolnością. Tak np. twierdzi on, że, w razie porażki Rosji, Królestwo podzieloneby zostało na 3 części. Otóż możemy go się zapytać dlaczego na trzy?

Wszak może być ono podzielone pomiędzy Niemcy a Austrję, albo, w razie gdyby wojnę z Rosją prowadziła sama monarchja Habsburgów, bez Niemiec, to onaby tylko mogła odebrać kawałek Królestwa. Niemcy mogłyby zabrać całe Królestwo, pozostawiając Austrji Podole, albo część Wołynia. Nakoniec, w razie wielkiej porażki Rosji, Austrja mogłaby zabrać Królestwo, a Niemcy Litwę (etnograficzną i część prowincji Nadbałtyckich.

Ale przypuśćmy, jak chce Balicki, że Królestwo podzieloneby było na trzy części, że: Niemcy zabrałyby jego część Zachodnią z Warszawą np. gub. Kaliską, Płocką, Piotrkowską i Warszawską; Austrja gub. Kielecką i Radomską; a Rosja Lubelską (z resztkami dawnej Siedleckiej, Łomżyńska i Suwalska. Wówczas lwia część Królestwa dostałaby się Niemcom, byłoby w niej przeszło 7 miljonów mieszkańców, z których na samych Polaków przypadałoby przeszło 6.

Te prowincje polskie byłyby przyłączone nie do Prus lecz Niemiec, co stanowi różnicę wobec tego, że parlament niemiecki oparty jest na innych podstawach niż sejm pruski. Wówczas w całym zaborze niemieckim byłoby 10 miljonów Polaków, których wpływ by wzrósł znacznie, i z którymi Niemcom nie byłoby łatwo sobie poradzić. Tak znaczna ilość Polaków wzmocniłaby nasze pozycje na Szląsku, na Kaszubach, w Prusach, nawet w Poznańskim.

Napływ ciągły żydów z Rosji zostałby powstrzymany. Wobec silnej odporności Polaków, w nowo przyłączonych prowincjach, giermanizacja

nie robiłaby wielkich postępów, a może nawet przestałaby wydawać wogóle skutki.

Kulturalnie ludność polska ogromnieby zyskała, wszak dziś już lud wiejski jest najbardziej oświecony w Poznańskiem.

Co do przemysłu, to niektóre jego gałęzie mogłyby upaść, co jednak nie jest pewne, gdyż trudno zrozumieć, dlaczego fabryki nasze, znalazłszy się w obrębie granicy celnej niemieckiej, i mając szeroki rynek zbytu w Poznańskim, i w innych prowincjach polskich miałyby koniecznie ustępować fabrykom niemieckim?

Ale gdyby nawet istotnie niektóre gałęzie wytwórczości naszej upadły, to niezawodnie inneby powstały. Byłoby to więc pewne przesilenie ekonomiczne.

Rolnictwo nasze natomiast ogromnieby zyskało, zwiększając przez to znacznie pojemność rynku wewnętrznego, i podnosząc wogóle zamożność włościan.

Przyłączenie gub. Kieleckiej i Radomskiej do Austrji zwiększyłoby ludność rdzennie polską tego państwa o jakie $2^1/_2$ miljony ludności, zwiększając rynek wewnętrzny dla rodzącego się przemysłu w Galicji. Byłoby wówczas w Austrji z jakie 6 i pół miljona Polaków, mogących się zupełnie swobodnie rozwijać, mających pewny grunt pod nogami. Czyżby to nie było poważną dla nas zdobyczą?

Przyłączenie gub. Podolskiej do Austrji zwiększyłoby ludność ruską również o jakie 2 i pół miljonów, byłoby tam i trochę Polaków i żydów. Stosunek procentowy Polaków i Rusinów w Austrji nie uległby poważnej zmianie (chociaż procent Rusinów niecoby się zwiększył). Rusini mieliby ogromnie dużo do pracy narodowej w nowo przyłączonej gubernji, i parcie ich na zachód osłabłoby na czas jakiś. Z gub. podolskiej i części Galicji Wschodniej — możnaby utworzyć odrębny kraj koronny.

Trzecia część Królestwa, najbardziej naogół zacofana (z wyjątkiem Lubelskiego) ekonomicznie i kulturalnie — pozostałaby przy Rosji.

Oczywiście położenie Polaków w tej części nie byłoby dobre, przynajmniej początkowo.

Zauważyć jednak należy, że wojna któraby pozbawiła Rosję Królestwa i Podola — spowodowałaby nowy wybuch rewolucji, silniejszy niż poprzednio, który doprowadziłby do ostatecznego upadku absolutyzmu, i do utrwalenia się ustroju konstytucyjnego, który bądź co bądź dałby Polakom, w zmniejszonym zaborze rosyjskim, pewną swobodę ruchów, łepszą od tego stanu rzeczy jaki dziś panuje w Królestwie.

Tak więc przyjmując nawet przypuszczenia Balickiego co do najniekorzystniejszego dla nas podziału Królestwa — dochodzimy do wniosków zupełnie innych niż on.

Porażka Rosji i podział Królestwa skonsolidowałyby nasze siły w Niemczech i Austrji, i podniosły nas kulturalnie; a wywołując w końcu upadek absolutyzmu w caracie, poprawiłyby byt naszych rodaków i w tym państwie.

„Słowo Polskie“ mówiąc o przypuszczalnej wojnie austrjacko-rosyjskiej, robi wprawdzie zastrzeżenie, że zwycięstwo Rosji byłoby dla nas także niekorzystne, nie wyprowadza jednak z niego należytych konsekwencji. Wogóle zdanie to umieszcza tylko dla zamaskowania swoich sympatji rosyjskich.

Rozważamy teraz skutki zwycięstwa Rosji. Byłyby one wprost okropne.

Wschodnia Galicja przeszłaby do caratu. Polacy znaleźliby się w położeniu rodaków naszych na Litwie, Białej Rusi i Ukrainie. Wszystkie nasze posterunki kulturalne w Galicji Wschodniej byłyby zniszczone.

Ruch ukraiński byłby powstrzymany w swoim rozwoju, przez co moment rozbicia rcentralizmu rosyjskiego odroczony na czas nieokeślony. Zwycięska wojna Rosji wzmocniłaby obecny system rządowy w caracie, a nawet doprowadzićby mogła do powrotu całkowitego do dawnych rządów z przed 1905 r.

Stanowisko nasze w Austrji zostałoby bezpowrotnie osłabione.

Trzeba być albo kretynem, albo najemnym pachołkiem rosyjskim, aby nie zrozumieć, że najżywotniejszym naszym interesem narodowym jest, w razie wojny, poprzeć wszystkimi naszymi siłami Austrję.

Balicki, stary szuler polityczny i blagier, chcąc odstraszyć Polaków od pomagania Austrji, twierdzi, że nie jest rolą godną wielkiego narodu podrzędne stanowisko podczas wojny, polegające na wspieraniu Austrji zapomocą informowania jej o ruchach wojsk rosyjskich, oraz wykonywania skrytych ataków na carską armję.

Ta „rycerskość“ Balickiego, występującego w roli faktora rosyjskiego, jest i nieszczera i śmieszna. Nieszczera dlatego, że Balicki i jego koledzy partyjni wykonywali nieraz skryte ataki, nie na wojska carskie wprawdzie, ale na swoich wrogów politycznych, Polaków, ataki nie fizycznej, lecz moralno-idejowej natury. Śmieszną zaś, gdyż zapoznaje ten fakt, że Rosja jest naszym wrogiem najgorszym, którego zwalczanie wszelkimi sposobami, podczas wojny zwłaszcza, jest nietylko zrozumiałe, ale nawet konieczne. Gdybyśmy przypuszczali, że akcja naszego społeczeństwa, choćby tylko w tej formie, może przechylić szanse zwycięstwa na stronę Austrji, to, ze względu na nasze interesy narodowe, powinniśmy to zrobić.

Nikt w rycerskość Balickich, Grabskich i Dmowskich nie uwierzy. Wszyscy bowiem wiedzą, że są to awanturnicy polityczni i szarlatani, gotowi zaprzepaścić najżywotniejsze interesy narodu naszego, dla celów osobistych, dla wyniesienia siebie.

Sympatje narodowych demokratów do Rosji są zrozumiałe. Wpływ ich bowiem istnieć może w naszym społeczeństwie tylko w ciemnościach warunków, stworzonych przez absolutyzm, albo półabsolutyzm. Jawne życie polityczne, oparte na szerokim życiu konstytucyjnym, na swobodach narodowych, jakie istnieją w Galicji, nie jest atmosferą korzystną dla tych cyganów i bandytów politycznych. Inna rzecz w Rosji, tam można zawsze straszyć społeczeństwo, rozwijać jego fanatyzm nacjonalistyczny i równocześnie ciągnąć z niego rozmaite korzyści...

Narodowi demokraci są barbarzyńcami, dlatego też nie widzą oni niebezpieczeństwa, jakie stwarza dla nas carat, przez obniżanie naszej kultury. Żadne polskie szkoły prywatne, gdyby nawet były najlepsze — nie zastąpią liczebnych i dobrych szkół rządowych. Rosja zaś nie da nam dobrej rządowej szkoły.

Obecnie oświata w Królestwie przedstawia się wprost strasznie, gorzej niż w niejednej gubernji rosyjskiej.

Ale naszych narodowych demokratów nic to nie obchodzi, byle handel szedł, byle byli „sternikami“ polityki „narodowej“.

Słusznie zauważył „Przegląd“, że kto nie jest za Austrją, ten, w razie wojny, będzie za Rosją. Otóż narodowi demokraci są za nią istotnie.

Komunikat „Gazety Lwowskiej“, z dnia 9 listopada świadczy, że rząd krajowy zdaje sobie sprawę

z antypaństwowych tendencji narodowych demokratów.

Raz jeszcze stwierdzamy w piśmie naszym, że dziś żaden poważny polityk polski, żaden nawet wpływowy rewolucjonista — nie łudzi się możliwością zdobycia niepodległego państwa polskiego w czasie wojny. Obecnie chodzi o przesunięcie granicy, o to, aby Królestwo w całości, albo w części przeszło do Austrji, w której znajdujemy warunki dla niepodległego życia narodowego.

Oczywiście tworzenie rządu narodowego jest i niepotrzebne, i nawet śmieszne, gdyż niktby, prócz małej garstki, kompetencji jego nie uznał. Potrzebne są jednak narady, organizacje, któreby w razie wojny, brały na siebie kierownictwo techniczne akcją współdziałającą Austrji.

Jeżeli jednak rząd narodowy jest niepotrzebny, to również niepotrzebną jest, a nawet szkodliwą i Rada Narodowa, chcąca przyswoić sobie atrybucje rządu narodowego, zwłaszcza rządu w obecnym swoim składzie, w której zasiadają jednostki pragnące się wysługiwać Rosji.

Wojna może wybuchnąć prędko, należy zachować czujność. Byłoby dobrze, aby władze nasze baczyły, żeby narodowi demokraci nie zajmowali zbyt odpowiedzialnych stanowisk urzędowych, zwłaszcza w powiatach nadgranicznych, gdyż, w razie wojny z Rosją — rola ich mogłaby być bardzo szkodliwą, zarówno dla naszych interesów narodowych, jak i dla państwa. Urzędników takich należałoby zawczasu przenieść do innych części kraju.

Nietylko jednak władza, lecz całe społeczeństwo czuwać powinno nad akcją narodowych demokratów, wysługujących się caratowi.

Ludwik Kulczycki.

Stare brednie o nowych lecz „niezdrowych" prądach.

Ilekroć „Gazeta Narodowa", „Słowo Polskie", lub inny organ moskalofilstwa polskiego odezwie się w jakiejś sprawie, ilekroć pragnie z kimś polemizować — zawsze zdradzić musi wyjątkową tępość umysłową, niesumienność charakteryzującą politycznych szulerów.

W nrze 262 „Gazeta Narodowa" próbuje ze mną polemizować, powołując się na niedorzeczny artykuł w „Rzeczypospolitej", na który odpowiedziałem wyczerpująco w nrze 6 „Nowego Prądu". O mojej odpowiedzi organ skrajnych wsteczników wschodnio-galicyjskich nic nie wspomina, a jednak odpowiedź ta mogłaby mu niejedno rozjaśnić.

„Gazeta Narodowa" dziwi się, że narodowych demokratów i podolaków, zwłaszcza z klubu środka, uważam za moskalofilów.

Otóż nic w tym dziwnego niema. Muszę uważać za moskalofilów ludzi, którzy pomimo licznych faktów, świadczących o niszczeniu naszej kultury przez Rosję, pomimo istnienia w niej faktycznego absolutyzmu, wciąż jeszcze łudzą się, że pod jej skrzydłami będzie nam znośnie, a w każdym razie znośniej niż wówczas, gdyby Królestwo podzielone zostało pomiędzy Austrję a Prusy.

Nieznany publicysta z „Gazety Narodowej" boi się strasznie Prus, ale, jako polityczny analfabeta, nie probuje nawet zbić tych, co jak np. niżej podpisany — wykazywał szczegółowo (w nrze 1 i 6 „Nowego Prądu") śmieszność i bezpodstawność obaw, dotyczących losów Królestwa, w razie częściowego, albo zupełnego przyłączenia go do Niemiec.

Nasi moskalofile nie umieją logicznie myśleć, i prowadzić systematycznej dyskusji odpierając kolejno zarzuty swoich przeciwników. I pod tym względem są zupełnie podobni do publicystów carskich, z „Nowawo Wremieni", „Świeta" i innych pism.

Panowie ci natomiast lubią bawić się w przypuszczenia, a nawet w twierdzenia, na uzasadnienie których nie mają absolutnie żadnych faktów. Tak np piszą o mniemanych moich protektorach, bez żadnych podstaw. Takie gołosłowne twierdzenia zrozumiałe są zresztą w ustach wszelkiego rodzaju pieczeniarzy prywatnych i politycznych, którzy o wszystkich innych sądzą po sobie. Wielu naszych moskalofilów i zarazem wschodnio-galicyjskich wsteczników należy właśnie do rzędu pieczeniarzy politycznych, którzy przy każdej okazji gotowi są dla siebie i swojej kliki wytargowywać różne koncesyjki, kosztem społeczeństwa.

Jako dowód niezwykle małej inteligiencji mojego przeciwnika z „Gazety Narodowej" przytoczyć muszę ten fakt, że nie chce on zrozumieć tego, że Austrja nie rozporządza nieprzebranymi skarbami, i że nie może, dla ciągłego utrzymywania naszej przewagi nad Rusinami, za każdą nowo utworzoną instytucję ruską dawać nam kilka innych.

Twierdzenie publicysty z „Gazety Narodowej", że Austrja zawsze, w razie potrzeby, znajdzie miljony, jest dziecinnym frazesem, zbijanie którego jest zbyteczne.

Jego wiadomości dotyczące mojej osoby są oparte na takich samych plotkach, jak jego „wiedza" polityczna. Twierdzi on mianowicie, że gdy się utworzył narodowy obóz socjalistów u nas, to odmówiłem swojego w nim udziału. Otóż i to jest kłamstwem. W P. P. S. byłem od jej powstania, tj. od 1893 do 1895 w którym zostałem powtórnie przez władze rosyjskie aresztowany, osadzony w więzieniu, a później wysłany na Syberję. Po ucieczce z niej i po osiedleniu się w Galicji, w połowie 1900 r., wystąpiłem z tej partji, z powodu różnic taktyczno-programowych, a nie narodowych. Byłem bowiem właśnie przeciwnikiem akcji powstańczej, propagowanej wówczas i przez p. Grabskiego. Dziś również, wbrew temu co twierdzi publicysta z „Gazety Narodowej" — nie jestem zwolennikiem powstania stawiającego sobie za cel stworzenie państwa polskiego, gdyż nie widzę sił ku temu.

Dziś jednak nikt nie myśli o takim powstaniu, co stwierdziła nawet P. P. S. w swojej odezwie. Dziś mówi się tylko o atakowaniu Rosji w razie wojny jej z Austrją.

Niesumienność i tępość naszych moskalofilów polega właśnie na tym, że ilekroć z kimś polemizują — to nigdy nie zadadzą sobie trudu wniknięcia w myśl swoich przeciwników.

Podolacy, zwłaszcza z klubu środka, i narodowi demokraci, przynajmniej prawowierni — są moskalofilami. Tak samo jak nasi targowiczanie wierzyli we wspaniałomyślność imperatorowej, tak samo i oni wierzą we wspaniałomyślność caratu, chociaż tego nie mówią wyraźnie.

U podolaków ciążenie ku Rosji wynika z ich stanowych ideałów. Być może nieświadomie dla siebie — czują oni sympatję do państwa, w którym niema powszechnego prawa głosowania, prawa koalicji, w którym za pomocą przekupstwa można mieć, w sprawach prywatnych, za sobą administrację i sądy. Głupi podolak, którego psychologja różni się mało od psychologji szlachcica polskiego z końca XVII i początków XVIII w. — niczego nie pragnie, jak

tylko spożywania darów bożych i panowania nad ludem. Dla takich ludzi rządy rosyjskie są błogosławieństwem. Jest to zupełnie zrozumiałe. Dlatego też nie wątpię, że im więcej Austrja będzie się demokratyzowała, tym więcej podolacy ciążyć będą do Rosji, w której, zdaniem ich, „nie jest tak źle".

Rola sług Rosji jest dla podolaków odpowiednia. Z tego jednak nie wypada, aby naród polski miał identyfikować swoją politykę z polityką kliki szlagonów, którzy jako przeżytek, dziwnym zrządzeniem losów istnieją jeszcze w XX wieku.

Ludwik Kulczycki.

Problemat ludnościowy.

W ostatnich czasach stwierdziła statystyka zmniejszanie się liczby ludnościowej we Francji i w Niemczech. Szczególnie w Niemczech, znanych „z wzorowego i bogobojnego" pożycia małżeńskiego, fakt ten wywołał liczne obawy i komentarze. Kwestja ubytku liczby ludności jest dla narodów i dzisiejszych państw militarnych kwestją pierwszorzędnej wagi. Wymaga ona gruntownego rozpatrzenia. Jednym z pierwszych, który kwestję tę naukowo traktował, był znany Robert Maltus. Konsekwencją praktyczną rozważań teoretycznych tej szkoły był nakaz koniecznego ograniczenia liczby potomstwa, gdyż podaż środków konsumcyjnych nie jest w stanie podążać za naturalnym przyrostem ludności.

Kwestję zmniejszania się liczby ludności możnaby rozpatrywać z dwojakiego punktu widzenia: ekonomicznego i kulturalnego. Rozpatrując kwestję z ekonomicznego punktu widzenia, nie możemy się godzić z poglądem Maltusa co do konieczności ograniczania liczby potomstwa, gdyż statystyka dowodzi, że środki konsumcyjne, przy racjonalnej ekonomji, mogłyby starczyć dla daleko większej liczby ludności, niż dzisiaj mamy. Jednak człowiek wychowany w dzisiejszej kulturze, wysubtelniony nerwowo, żądny użycia doczesnego żywota, stwarza sobie sam ekonomiczny argument dla ograniczenia liczby potomstwa. Albowiem nadmierne potomstwo tworzy największą zaporę w możności używania tego nowoczesnego życia kulturalnego. Warunki zdobywania środków materjalnych stają się dzisiaj coraz trudniejsze. Człowiek musi się zadowalniać coraz skromniejszymi dochodami. Żywotną staje się kwestja tego rodzaju doboru małżeństwa, by mąż i żona mogli równocześnie zarabiać. Ekonomja budżetu domowego musi być tak układaną, by w ramach skromnych dochodów zyskać jak najwięcej na rubrykę, „życie kulturalne". Im szersze kręgi kultura współczesna zatacza, im w coraz niższe warstwy społeczeństwa wsiąka, tym coraz więcej mamy członków społeczeństwa uwzględniających moment ekonomiczny w kwestji rozpładniania.

Jeżeliby ktoś twierdził, że z chwilą reorganizacji społeczeństwa współczesnego, niedostatek ekonomiczny zniknie, że państwo przyjmie na siebie obowiązek wyżywienia i wychowania potomstwa w zupełności, i że Maltusa moment ekonomiczny w problemacie ludnościowym zniknie, to z twierdzeniem tym nie będziemy mogli się zgodzić.

Po pierwsze bowiem wydaje nam się rzeczą niemożliwą do przeprowadzenia, ażeby państwo wzięło na się obowiązek całkowitego wychowywania potomstwa,

Doprowadziłoby to bowiem do nieobliczalnych konsekwencji. Uwzględnienie zaś ostatniego argumentu, łącznie z kwestją wzrastającego coraz bardziej wyrafinowania i bogactwa naszej kultury, z chęcią coraz pełniejszego używania jej, zmusza nas koniecznie do przyjęcia poglądu, że człowiek nowoczesny będzie coraz oszczędniejszy w przysparzaniu potomstwa. Świadomość, że czas naszego życia fizycznego stał się dzisiaj tak krótki, że powinniśmy bujnie i szybko z pełni życia korzystać, że im więcej środków do użycia mamy, tym szczęśliwsi jesteśmy, utwierdza niezbicie moment ekonomiczny.

Ten zaś ostatni wiąże się ściśle z momentem kulturalnym. Co rozumiemy przez moment kulturalny? Składa się nań wiele czynników.

Zastrzegam się, że poglądy moje nie są wysnute z fantazji literackiej. Miałem, z tytułu mojego zawodu, wiele sposobności przekonać się, jak głęboko one zakorzeniają się w umysłach ludzi współczesnych, jak rzeczywiście coraz szersze warstwy obejmują.

Starałem sobie ze zjawiska tego zdać wszechstronnie sprawę. Poglądami do których doszedłem, dzielę się dzisiaj z czytelnikami. Przypisuję obserwacjom moim tem większe znaczenie, że badałem kwestję szczególnie wśród kół najpostępowszych, przesiąkniętych najbardziej idejami współczesnej kultury.

Kobieta nowoczesna boi się macierzyństwa. Oto twierdzenie które chciałbym na czoło rozważań z grupy drugiej postawić. Boi się macierzyństwa nie tylko jako fizjologicznego aktu sprawiającego jej cierpienia fizyczne, ale także jako wychowanka kultury współczesnej. Pomijając, że moment ekonomiczny odgrywa u kobiety nowoczesnej ogromną rolę, boi się kobieta macierzyństwa jako balastu, który jej przez najpiękniejszą część życia będzie utrudniał możność trzymania ręki na pełni tętna współczesnej kultury. Powie mi ktoś, że moje twierdzenie sprzeciwia się naturalnemu instynktowi macierzyńskiemu. Niestety! Kultura współczesna nauczyła nas panować nad najistotniejszymi instynktami, nad instynktem życia i instynktem śmierci. Dziś filozofujemy z zimną krwią nad śmiercią i z zimnym wyrachowaniem kładziemy często kres życiu. I jeżeli przypatrzymy się temu wskaźnikowi poglądów dzisiejszych, u warstw najpostępowszych, to znajdziemy tam coraz mniej chęci posiadania dzieci. Bez narażania się na śmieszność można powiedzieć, że w tych warstwach inteligientnych dzieci rodzą się przypadkowo jako następstwo źle dobranych środków zapobiegawczych. Być może, że ten instynkt macierzyński zdoła jeszcze o tyle się zachować, że moglibyśmy się utrzymać na poziomie jedno- i dwu-dzieciństwa, aczkolwiek nam się wydaje, że i w tej minimalnej postaci, nie okazuje on tendencji do zachowania się.

Zgodzimy się natomiast z tym, że przez odpowiednie wychowanie i ukształtowanie naszych poglądów kulturalnych, z pobudek społecznych, narodowych czy ludzkości, w imię konieczności utrzymywania rodu ludzkiego, niwelacja instynktu macierzyńskiego przez współczesną kulturę, da się do pewnego stopnia usunąć. Zdaje nam się, że te rozważania kierowały umysłami przeciwników emancypacji kobiet. Nie mieli oni jednak o tyle racji, że nie uznawali pewnych konieczności, których żadna ludzka siła usunąć nie zdoła. Konieczności te zaś są istotnymi składnikami naszej kultury.

Jeżeli zaś kobieta nowoczesna, z motywów wyżej przytoczonych godzić się będzie z systemem jedno- i dwu-dzieciństwa, to wynikają z tego ogromnie doniosłe konsekwencje, o których pomówimy później.

Do istoty momentu kulturalnego należy nie tylko stanowisko kobiety ale także stanowisko mężczyzny, ich łączne stanowisko, jako małżeństwa. Cele małżeństwa uległy dzisiaj zmianie. Człowiek nowoczesny nie stawia sobie za cel płodzenie dzieci. Miłość w wyższym, szlachetniejszym pojęciu tego wyrazu nakazuje człowiekowi nowoczesnemu wstępywać w związki małżeńkie, szukać tutaj wzruszeń wyższych aniżeli zadowolenie z płodzenia dzieci.

Mężczyzna i kobieta rozumieją dzisiaj obopólnie, że dzieci są przeszkodą w ukształtowaniu się małżeństwa w duchu nowoczesnym. A jeżeli już nie są zupełnymi przeciwnikami posiadania dzieci, to z pewnością nadmiernej ich liczby. Małżeństwo nowoczesne nie okazuje w ogóle tendencji do dozgonnego współżycia. Coraz więcej zaczynamy rozumieć, że jest rzeczą barbarzyńską z góry skuć dwoje ludzi aż do śmierci. Musimy dążyć do ukształtowania małżeństwa w ten sposób, ażeby była zachowana jak najwięcej swoboda indywidualności w kroczeniu po własnych drogach. Kwestja rozrywalności małżeństwa staje się najżywotniejszą kwestją społeczeństw.

Kto zaś niechce być ślepym na otaczające go fakta, kto umie należycie obserwować, ten przyzna, że tendencje takie rzeczywiście istnieją i coraz szersze kręgi zataczają. Następstwem zaś sprzeczności z powodu rzeczywiście nurtujących poglądów i ustalonych w postaci praw zwyczajów, jest konieczność omijania drogi prawnej. Człowiek nowoczesny radzi sobie po prostu bez prawa. Sam sobie daje rozwód. A nowoczesna kobieta godzi się z tym stanowiskiem w zupełności. Często nawet ambicja kulturalnego człowieka, nie każe jej żądać od mężczyzny środków na utrzymanie wspólnie spłodzonego dziecka. Wszystko to zaś przemawia za tym, że związki małżeńskie dzisiejsze muszą się formować pod znakiem nieposiadania, lub posiadania najmniejszej liczby potomstwa. Chęć ta objawia się zarówno ze strony mężczyzny jak i kobiety. Dołącza się wreszcie jeszcze inne zjawisko do momentu kulturalnego. Kultura współczesna jest źródłem najwyższych rozkoszy, ale zarazem największych cierpień moralnych. Niejednokrotnie człowiek, gubiąc się w zagadkach współczesnej kultury, walcząc z twardą rzeczywistością życiową, popada w pesymizm.

Bez wątpienia, że w kulturalnym człowieku, trapionym tymi różnymi kwestjami, musi się zrodzić myśl, że nie ma prawa płodzić potomstwa „ażeby tak klęło jak ja, ażeby płakało jak ja", jak śpiewa wielki poeta. I jeżeli wszelkimi łagodzącymi okolicznościami możnaby osłabić wartość ostatniego argumentu, to przecież faktem pozostanie, że człowiek kulturalny tylko z ciężkim sercem będzie przyjmował na się obowiązek, stwarzania nowe, nie proszące o to nikogo, życie. I jeżeli już na się ten obowiązek weźmie, to będzie przynajmniej o tym pamiętał, że wielu obowiązkom człowiek podołać nie może.

Tak więc w istocie naszej kultury leży tendencja do depopulacji. Nie pomogą tu całkowicie żadne biadania, ani zaklęcia w imię interesów ludzkości, czy narodu.

Tak jak ogrom zjawisk współczesnej kultury i chęć zapoznania się z niemi wpływa coraz więcej destruktywnie na stan fizyczny naszych nerwów i zdrowia, skracając przedwcześnie życie nasze, a jednak w żaden sposób tego wpływu zmiejszyć nie można i nawet siła jego z dnia na dzień rośnie, tak też z istoty współczesnej kultury i jej rozwoju wynika z koniecznością nieprzepartą tendencja depopulacyjna. Jest to beznadziejny prawie pesymizm, jednak możemy się z nim, jako złem nieuniknionem, pogodzić.

Cóż więc mamy czynić? Siedzieć z założonemi rękoma i biadać nad złem? Nie! *Pozostaje nam sposób racjonalnego wychowywania pokoleń, któreby przeciwdziałało depopulacyjnym tendencjom kultury współczesnej. Z jednej strony musimy dążyć do ukształtowania naszych stosunków gospodarczych w ten sposób, ażeby nędza materjalna zniknęła z powierzchni ziemskiej. Z drugiej strony wychować pokolenie z głęboko wpojonemi i należycie pojętymi cnotami obywatelskimi. Wychować kobietę nowoczesną z tym przekonaniem, że dostarczenie społeczeństwu zdrowego potomstwa jest jej obowiązkiem społecznym.*

Podnosić poziom wychowywania fizycznego, by przez czerstwe zdrowie uczynić człowieka odporniejszym na wszystkie ciosy, które weń obecnie godzą. A wreszcie, rzecz najważniejsza szanowac wartość życia ludzkiego, oszczędnie obchodzić się z tym najdroższym kapitałem, który przedstawia człowiek. Dzisiejszy ustrój społeczny prowadzi na tym polu gospodarkę rabunkową. Niszczy się bez liku ten najdroższy ludzkości kapitał w dzisiejszej gospodarce wytwórczej.

Człowieka używa się tak długo i tak intenzywnie, dopóki nie wyssie się z niego wszystkich sił. A wtedy wyrzuca się go na bruk, bo dość jest tego żywego materjału. Państwa militarne współczesne szafują bez pamięci miljonami tego najdroższego skarbu, licząc, że żeru dla armat każdej chwili dostarczy im płodna ludność. *I tu się zaczyna najważniejszy moment roli cywilizacyjnej kobiety. Ona która, z krwi własnej i bolu rodzi życie ludzkie ma prawo decydować o tem, by służyła za narzędzie tylko dla najwyższych celów ludzkości, a nie dla dostarczania celu lufom karabinów i paszczom armat* „Strejk macierzyński" Ellen Key przestaje być czemś śmiesznem z chwilą, gdy zrównawszy kobietę w stanowisku społecznym z mężczyzną, zgodzimy się z tym, ażeby i ona o losach społeczeństwa decydowała. Naturalnie, że mowa tutaj o nowoczesnej kobiecie. Poglądy jej jednak zataczają coraz szersze kręgi i dotrą wreszcie i do najniższych warstw ludowych. A wtedy nadejdzie czas, że płodzić będziemy życie ludzkie tylko dla wielkich wskazań. Wtedy nie starczy tego drogiego materjału dla luf karabinowych, jak największa oszczędność w jego używaniu stanie się konieczną.

Dr. med. Franciszek Dorosz.

„Z żywymi trzeba naprzód iść".

Objektywna analiza naszego życia społecznego ujawnia dokonywujący się w nim głęboki proces przełomowy — zmaganie się z jednej strony przestarzałych, lecz jeszcze dominujących w społeczeństwie prądów i stronnictw, powstałych pod wpływem przeżytków średniowiecza, z drugiej — młodych, nowożytnych, odźwierciadlających nowe pierwiastki, formujące się w głębi szerokich warstw społecznych.

Takie fakty, jak stopniowy upadek Narodowej Demokracji, jak zawiedzione nadzieje zwolenników bojkotu w obecnym okresie wyborczym w Królestwie, jak przejście na posła z Warszawy — Jagiełły, robotnika, socjalisty dowodzą, że stary obóz przeżywa ostry kryzys i stawia wobec najbardziej postępowych żywiołów w naszym społeczeństwie

zadanie sformułowania ogólnych podstaw idejologji, odpowiadającej nowym warunkom bytu — nakreślenie drogi walki o wyzwolenie polityczne, klasowe, narodowe.

Artykuł niniejszy stanowi jedną z prób w tym kierunku. Aby jak najskuteczniej wypełnić me zadanie, przedewszystkiem skreślę w paru zdaniach charakterystykę ogólną idejologji starego obozu.

Ten obóz składa się z najróżnorodniejszych, często zawzięcie walczących ze sobą żywiołów, jak: N-D, „fronda“ tego stronnictwa, i niektóre żywioły rewolucyjne. Wszystkie jednak te grupy pochodzą ze wspólnego źródła — powstały w okresie zwrotu ku romantyzmowi. Duch średniowiecza unosi się nad nimi, niezależnie od stosunku, jaki istnieje względem niego w każdej z nich. Łączą ze sobą te wszystkie sprzeczne żywioły: wspólny im hołd dla przeszłości, negatywny stosunek do idei okresu „pozytywizmu Warszawskiego“, posługiwanie się metodą subjektywną przy formułowaniu zadań i haseł politycznych, wązki nacjonalizm, awanturnictwo polityczne, objawiające się u jednych w konszachtach z rządem rosyjskim, u innych w wyczekiwaniu realizacyi zadań wyłącznie na drodze komplikacyi międzypaństwowych. Duch okresu, który znalazł swój wyraz w fizjonomji politycznej tych grup, odbił się również w literaturze i sztuce. W literaturze pod tym względem są najbardziej charakterystycznemi utwory Katerli i Żeromskiego z ich idealizacją przeszłości, pesymizmem względem teraźniejszości, chorobliwą fantastycznością, bezowocnymi wysiłkami w pogoni za odtworzeniem „urody życia“. W sztuce z jednej strony występuje przed nami wygłoszone niedawno przez J. Malczewskiego hasło: „na kolana przed tronem Boga!“ — z drugiej — pozbawione oryginalności utwory młodych malarzy — nędzna imitacja francuskich neoprymitywów.

Taką jest przeszłość, jak zmora ciążąca nad całym naszem życiem społecznem. Lecz „wszystko płynie, wszystko się zmienia“. Pod powłoką starych ideałów wiruje życie nowe; w jego centrum — główna jego dźwignia — ruch robotniczy klasowy — objaw rozwijających się samodzielności i inicjatywy wśród szerokich mas robotniczych — związki zawodowe, towarzystwa oświatowe, słabe jeszcze, lecz wpływowe organizacje polityczne; dalej kółka Staszyca, z ich hasłem, identycznym z hasłem ruchu robotniczego — „Sami dla siebie!“, kooperatywy etc. Nowe zdrowe pierwiastki dają się zauważyć i w dziedzinie literatury i sztuki; do takich należy „Ozimina“ W. Berenta; intelektualizm, zagadnienia uniwersalne, naturalizm, cechujące niektóre utwory młodych beletrystów; tryskające życiem obrazy pejzażystów — impresjonistów, niektóre z rzeźb Dunikowskiego, jasne barwy, a często potężne, pełne życia postacie w obrazach J. Malczewskiego, które zdają się wtórować nie hasłu, przez mistrza wygłoszonemu, lecz temu, które się wśród mas ludowych rozlega — „sami dla siebie“.

Już wystąpienie szerokich mas robotniczych na na arenę życia politycznego podczas ruchu wolnościowego r. 1905 postawiło przed idejologami klasy robotniczej polskiej zadanie stworzenia szerokiej socjalistycznej partji robotniczej. Zadanie to rozszerza i czyni wciąż bardziej aktualnym dalszy bieg wypadków, a szczególnie wybranie na posła z Warszawy — Jagiełłę. Ten fakt ostatni dowodzi, że nie tylko robotnicy polscy, lecz i burżuazja żydowska uznawała zwolenników socjalizmu międzynarodowego za jedynych konsekwentnych obrońców wszystkich uciśnionych i uwydatnia zadania ogólno-demokratyczne proletarjatu obok jego zadań klasowych, z których pierwsze z logiczną konsekwencją wypływają.

Utworzenie silnego stronnictwa robotniczego socjalistycznego staje się najważniejszą kwestją dnia. Winne ono powstać ze zjednoczenia w celu wspólnej akcji politycznej wszystkich sił proletarjatu, świadomych swych interesów klasowych, skupiających się pod sztandarem socjalizmu, uznających niezbędność walki klasowej, solidarnej z robotnikami wszystkich narodów, wyzwolenie polityczne, narodowe, klasowe. Lecz zadanie socjalistów polskich szczególnie w okresie obecnym walki proletarjatu polega w dalszym ciągu także na pogłębieniu ich idejologji na wyprowadzeniu z niej konsekwencji w stosunku do wszystkich dziedzin życia społecznego, szerzenia tej idejologji w szeregach szerokiej partji robotniczej, na współdziałaniu realizacji wszystkich rewolucyjnych pierwiastków rozwoju kapitalistycznego, za tem, aby osłabiać, izolować reakcję i skupiać i wyzyskiwać w interesach postępu i najbardziej konsekwentnej jego rzeczniczki — klasy robotniczej — wszystkie zdolne do życia siły społeczeństwa. Przestarzałej idejologji neoromantyków socjaliści powinni w dziedzinie metod myślenia przeciwstawić tradycje „pozytywizmu Warszawskiego“ i powstałą w Polsce w jego okresie swoją własną idejologję, która tu z okresem „pozytywizmu“ genetycznie się łączy nierozerwalnymi węzły, stanowiąc dalszy rozwój jego dodatnich pierwiastków rewolucyjnych. Marksizm zaś jest to światopogląd, osią którego jest formułowanie zadań politycznych i haseł dnia na podstawie wyniku analizy objektywnej tendencji rozwojowych społeczeństwa. Jego treścią wewnętrzną kult życia, jako wyraz potęgi proletarjatu zdążającego ku lepszej przyszłości, ufnego, że realizacja jego ideału nastąpi, jako nieunikniony wynik walki na tle dziejowych tendencji rozwojowych.

Z tej wewnętrznej treści idejologji proletarjatu, wynika jego stanowisko w dziedzinie literatury i sztuki. Odzwierciadleniem walki ludzkości pracującej o wyzwolenie będzie rozkwit w sztuce naturalizmu, uwzględniającego nie tylko stronę zewnętrzną stosunków społecznych nie tylko pierwsze wrażenia z otaczającej nas przyrody, lecz i głębie wewnętrzne tej przyrody i duszy ludzkiej i kiełkujące w społeczeństwie pierwiastki przyszłości. Jużeśmy zaznaczyli narodzenie się pierwiastków tej sztuki u nas. Rozwój ruchu robotniczego i jego idejologji da impuls do dalszego ich rozwoju.

Ożywienie tego ruchu będzie miało skutki dodatnie i dla najbardziej postępowych warstw burżuazji, wniesie bowiem ożywienie i w jej szeregi i ułatwi jej zadanie najbliższe — walkę o wyzwolenie od hegemonji sił reakcyjnych średniowiecza oraz niezbędny i z punktu widzenia jej interesów, rozwój kulturalny narodu, którego główną dźwignię stanowi ruch robotniczy.

Moment bowiem walki na śmierć i życie całej klasy burżuazyjnej z proletarjatem oraz jego zwycięstwa bynajmniej nie jest blizkim; może on być następstwem jedynie wszechstronnego rozwoju sił kulturalnych narodu.

Jednym więc z najważniejszych zadań doby dzisiejszej jest, obok walki o wyzwolenie polityczne i narodowe, również zwalczanie bezwzględne ciążących obecnie nad naszem społeczeństwem tradycji średniowiecza, paraliżujących samą sprawą wyzwolenia.

„Z żywymi trzeba naprzód iść!“

. . . .

K. Zalewski.

Ze współczesnej poezji ukraińskiej.

Sydir Twerdochlib: Nowe wiersze.

I.

Głosy miasta.

Co wieczór szumi miasto, błyszczące światłami,
Od których bije w niebo szafranowa łuna;
Ten poblask nocy miejskiej tak mi oczy mami,
Że marzy mi się krwawa paryska komuna,
To znowu Rzym płonący z kaprysu Nerona...

A gdy tak w otchłań marzeń niemo tonie dusza,
Natenczas piosnka, grana na ręcznej harmonii
Pod mojemi oknami, bardziej serce wzrusza,
Niż banalna konieczność czyjejś tam agonii,
Gdy ktoś mi w progu rzeknie: „Zastrzelił się... Kona..."

I wtedy imię moje, imię zwykłe, szare,
W ulicy przez dziewczynę krzyknięte przypadkiem,
Wywołujące śmieszną przyszłych zdarzeń marę,
Cenniejszem mi się zdaje czemś i bardziej rzadkiem,
Niż Sława, na pomniku laurami wieńczona.

II.

O tramwaju marzycielu.

Tramwaju, marzycielu, w którego źrenicy,
W dzień przygasłej, o zmroku płomień skrzy radośnie!
Poeto, wiatr goniący w tej samej ulicy
Od rana aż do nocy, gdy już wszystko pośnie!

Znękany monotonią ulicznej włóczęgi
Od rogatki do remiz wzdłuż muru cmentarza,
Śnisz dziś—w wieczór niedzielny—szmaragdowe łęgi,
Gdzie motłoch, żądny cudów, rakiety rozjarza.

A kiedy cię urzekły podlotków chichoty,
Skwapliwie bieg wstrzymałeś naprzeciw przestanka;
Zakochany w uroku dziewczęcej głupoty,
W kobiecości zalążkach, widnych z pod kaftanka—

Czyżbyś zapomniał, druhu, zwykłej swej powagi,
Że ci to nie przystoi zdradzać chceń wisusa?
Korzystając z zagapień zwrotnicowej wagi,
Jak kangur z dziećmi w łonie, — na bok dałeś susa.

Gonisz, nieznanym torem, za miasto... Nad żydem,
Co na cię wskazał tłumom, przemknąłbyś jak źrebię,
Lecz ci uszedł... Za wybryk ukarany wstydem,
Pędzisz zapamiętale, na oślep przed siebie.

Nic ci to, żeś przejechał pieska tej dewotki,
Policjanta-ś potrącił, co cię chciał miarkować —
Zawziąłeś się raz uwieść miłe ci podlotki,
Choćbyś miał — uwięziony — miesiąc pokutować...

III.

W noc popielcową.

Oto noc popielcowa, licznych samotników
Powiernica i wróżka, iszcząc kaprys chwili,
Prowadzi dziś przez wnętrza biednych pokoików
Korowód gejsz Nipponu i gitan Sewili.

To znów im o nieznanej szepce Ulajali,
Czczem widmem nudy dręczy, prawi o ich nędzy,
I wypędza nareszcie w sień balowej sali,
Kędy stać będą, cisi, nie mając pieniędzy.

Co chwila zajeżdżają pod dom kabrjolety;
Usłużnych samochodów turkot zadyszany
Coraz to cudowniejsze wieści im kobiety,
Nim wynurzą się bosko z gazy białej piany.

Lecz zwolna ich przygnębia smutek bolesciwy,
Jakieś ulotne echo przedwiecznej przygody...
Więc każdy z nich rozmyśla: „Czym jest król Niniwy?...
Czym nie ja miał, w prawiekach, wiszące ogrody?

Gdzież są moje hurysy, moje odaliski,
I najczulsze kochanki królów — niewolnice?"
I słaniając się, zwolna, łez rozpaczy blizki,
Odchodzi w najciemniejsze ukryć się ulice;

Chmurnej nocy na losu żali się koleje,
Nie bacząc, że do nitki wnet z jej łez przemoknie —
A w końcu postanawia badać własne dzieje
W każdem, niezasłoniętem, parterowem oknie;

Wtenczas cichy samotnik, ze wzruszenia blady,
Po przymurkach się wspina ze zręcznością kocią,
I, drżąc, śledzi przez szyby nagi bezwstyd zdrady
Tej, co ją żoną króla zwał przed wieków krocią...

Jedyną jest mu ulgą, kiedy się wydarzy,
Że ujrzy dręczonego pastwą jej okrutną
Sobowtóra — jednego z wygnanych mocarzy...
I wtedy mu współczuje i jest mu mniej smutno.

IV.

Pijany król.

„Ja, mocarz, chory na manię małości,
Król, co nie lubi się otaczać świtą,
W lichej szynkowni, gdzie lud, pijąc, pości,
Chcę spędzić wieczór w ścisłem incognito.

Szczerzej, niż tympan i bojowe trąby,
Gra tu pobudka chrypliwej pianoli.
A ja — jakgdybym wstąpił w katakomby...
Do kata! Nie wiem, co i czemu boli,
Lecz tak mię boli, że ja, król, się zniżę,
Wypiję z ludem w szynku sześć z anyżem.

O! jakże piękna jest ta ziemia swojska,
Z której się woły tak cudownie karmią, —
Gdzie luz samotny jest przeglądem wojska,
Co zwie się kalek i matołków armią, —
Której się jednak śnią zwycięstwa zbrojnie
W wschodnio-zachodnio-południowej wojnie...

Rzecz tak zabawna, że aż prawie smutna:
Pchnij ich niewczesnym żartem raz do walki —
To ci na szarpie nie wystarczy płótna,
A gdzież jest brokat na sztandar?... Więc w szalki
Jadła żołnierzom! wlać im do serc wódki!...
Ba, patrzcie oto: w szynku pułk calutki...

Czyliż to zresztą już nie wszystko jedno,
Gdzie się nadejścia wiecznej nocy czeka —
Gdy dumne limby wciąż na górach rzedną,
A tyle bydląt udaje człowieka,
Że może jutro wstydzić się wypadnie,
Gdy kto w nas samych — człowieka odgadnie...

Dobrze mi teraz. Hej! pchnąć ordynansa,
Niech mi się zjawi piękna markietanka —

Mów pośle obcych ziem, z twarzą szympansa!...
Co?... „Ten szynk nie jest otwarty do ranka“?
A więc mię prowadź przez krwi z wina strugi,
Dostaniesz za to złoty krzyż zasługi...

— — — — — — — — — — — — — —

Ktoś drzwi zatrzasnął... Zdaje się, śnieg pada...
Moc wzbiera we mnie... Nawet Bóg, by tworzyć,
Musiał mieć chaos... Przecie jest mi rada
Niewiasta jedna: Ta ze siedmiu planet.
Padam na białe łono jej, jak brzemię,
I zdaje mi się, że zapładniam ziemię...“

Aleksander Nawroski.

Tłum, jednostka i obowiązki względem widza.

Biedny jest „homo sapiens“.

Był niegdyś królem, ostatecznym celem stworzenia, a ziemia, królestwo jego, była ośrodkiem wszechświata. Dla niego tylko wstawało i zachodziło słońce, dla niego księżyc nocą udawał latarnię, przez niezliczone otwory w modrej kopule nad jego głową na niego tylko spoglądała miłościwie światłość wiekuista, na obraz i podobieństwo swoje tworzył sobie bogi, które pod grozą obalenia musiały mu pomagać we wszystkim, godziwym i niegodziwym, cuda nawet robić, jeśli istniejące prawa przyrody przeszkadzały w urzeczywistnieniu najdzikszych kaprysów. Wszak do niedawna jeszcze miał duszę, którą każdej chwili mógł korzystnie sprzedać pewnemu amatorowi, przez okno oglądał co dnia absolut i żył, nie lękając się nawet śmierci, którą uważał za cenę wstępu do innego, lepszego świata.

Był niestety, dzieckiem rozpieszczonym i kapryśnym, więc zamiast bawić się grzecznie tymi pięknymi zabawkami, począł badać, co jest tam „w środku“, aż wszystkie popsuł i wyrzucił.

I oto biedne „ja“ ludzkie zostało samo pośród wszechświata, otoczone wielogłowym miljonowym „ty“, z których żadne, mimo wszystko, dotąd nie pozbyło się tego naiwnego złudzenia, że ono właśnie jest ośrodkiem wszechrzeczy, a wszystko, co jest, istnieje po to tylko, aby mu służyć, aby go bawić.

„Ja“ jest miarą i celem wszystkiego. Wszak po to tylko słońce wypluło ongi ziemię, po to tylko tyle niezliczonych gatunków ginęło w krwawej walce o byt, tworząc niby schody, po których szedł rozwój — by zaistniało owo dumne, wszechświat wypełniające „ja“ ludzkie.

Dla tego „ja“ ginęły narody, waliły się państwa, tworzyły się kultury, dla niego Kolumb odkrył Amerykę, ginęli na stosach heretycy. Na umysłowość dzisiejszego „ja“ złożyły się krwawe wysiłki tysięcy męczenników wiedzy, dla praw jego, jako jednostki, ginęli na szubienicach i marli w kazamatach szermierze wolności.

I oto „ja“, odziedziczywszy cały dorobek wszystkich pokoleń, które szły na śmierć, by stworzyć coś ponad siebie, by dla przyszłości wywalczyć lepsze warunki życia — protestuje dziś przeciw deptaniu praw jednostki w imię interesów tłumu, gardzi nim, głosząc, że interes tłumu sprzeciwia się interesowi jednostki. A jednak „tłum“, czyli raczej naród, albo społeczeństwo, to nie tylko suma jednostek, z których każda ma prawo do własnych form istnienia, ale suma wszystkich „ja“, zespolonych nie mechanicznie tylko siłą przemocy, jak w wiekach ubiegłych, lecz wspólnością interesów i coraz potężniejszymi węzłami psychicznymi.

Wzrosły niezmiernie prawa człowieczego „ja“ dzięki właśnie organizowaniu się jednostek w imię wspólnego celu. Jednostce dziś jednak, używającej w pełni swych praw, coraz trudniej zrozumieć interes ogółu, coraz trudniej ustąpić jej cośkolwiek ze swych przywilejów na rzecz całości, komplikującej się coraz bardziej do tego stopnia, iż cele ogółu wydaje się jej nieraz sprzeczne z własnemi jej dążeniami.

I dlatego to „ja“ podnosi dziś protest przeciw uroszczeniom społeczeństwa, buntuje się przeciw supremacji tłumu, nie gardząc jednak mimo to zdobyczami, które ten „tłum“ dla niej wywalczył.

„Odi profanum vulgus“ zawołał już przed wiekami rzymski poeta i do dziś na różne tony powtarza to zdanie wielu artystów, którym wydaje się, iż sztuka jest najwyższą wartością życia i w imię sztuki protestuje przeciwko obowiązkom społecznym.

Prawda, że obowiązków tych jest dziś o wiele za wiele. Wszak obowiązkiem każdego obywatela jest dziś urodzić się nawet, mieć nazwisko i ubranie, mieszkanie i stałe dochody, jeść codziennie w przepisanych porach, wreszcie umrzeć i dać się pogrzebać w sposób najdokładniej przewidziany przepisami policyjno-obrzędowymi. Są obowiązki względem Boga, ludzkości, narodu, rodziny, kochanki, bliźnich i samego siebie, przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, wieczności, słowem względem wszystkiego, co było, jest i będzie.

Od obowiązków tych uchylamy się nieraz, żadnych jednak nie wypełniany tak przykładnie, jak obowiązków względem widza. Zwłaszcza artyści, nawet i ci, co nie poczuwają się do żadnych obowiązków względem społeczeństwa.

„Widzem“ jest owo wielogłowe „ty“, które otacza nas zewsząd, śledząc argusowym okiem każdy nasz giest, łowiąc ciekawym uchem każde nasze słowo, usiłując przeniknąć każdą myśl. Stykamy się z nim ustawicznie, połączeni mnóstwem wyraźnych lub ukrytych węzłów — pokrewieństwa, przyjaźni, miłości, nienawiści, znajomości, interesów. Dlatego też liczymy się z sądem, który o nas poweźmie „ty“ i staramy się na sąd ten wpłynąć.

Jesteśmy wiecznie jak gdyby na scenie, czujemy na sobie badawczy wzrok widzów; sami będąc równocześnie widzami. W chwili zetknięcia się się z kimkolwiek człowiek natychmiast usiłuje wytworzyć sobie sąd o osobniku, z którym wchodzi choćby w przelotny stosunek, rozpoznać, czy jest to jego wróg czy sprzymierzeniec w walce o byt, równocześnie zaś, o czym wie dobrze, i sam staje jak gdyby przed sędzią śledczym, który usiłuje go przeniknąć. Pragnie więc wpłynąć na ten sąd o sobie, więc stara się pokazać te strony swego „ja“, które na sąd ów wpłyną w myśl pewnych zamiarów.

Tak rozgrywa się obustronna komedja, w której każdy jest równocześnie widzem i aktorem. Widz usiłuje odgadnąć, która rola wywrze zamierzony efekt, aktor zaś w lot charakteryzuje się, stosownie do wyników owych badań.

Każdy niemal człowiek pragnie zająć jakieś stanowisko wśród otoczenia, chce, by brano go w rachubę, by nie przechodzono nad nim do porządku, dobija się o uznanie dla swojej wartości, o dostęp do stołu.

Dlatego to artysta, nawet ten, który gardzi tłumem, drukuje swe utwory, wystawia swe obrazy

i zwracając się w ten sposób bezpośrednio do tłumu, żąda w zamian uznania dla swego talentu, dla swoich ideji, uznania moralnego i materjalnego.

Zauważywszy na sobie badawczy wzrok widza, każdy człowiek zaczyna najprzykładniej wypełniać dobrowolnie na się przyjęte obowiązki względem widza, pamiętając o względach reprezentacyjnych i wobec tych, o których sąd dba, usiłuje przybrać najefektowniejszą maskę, jak gdyby pozował do fotografji.

I nic dziwnego. Uznanie dla naszej wartości jest jak gdyby jej poręką. Więc każdy szuka poręczycieli swej wartości.

Podobnie jak żaden bank nie przyjmie poręki byle jakiej, tak i człowiek szuka poręczyciela, któremu może zaufać, który jest wypłacalny, który rozporządza odpowiednim kapitałem moralnym. Może nim być tylko taki człowiek, którego wartość dorównywa naszej, lub ją przewyższa. Od tego też zależy nasz stosunek do widzów, których jest wielogłowe mnóstwo.

Widzem może być Bóg, pewna warstwa społeczna, naród, ludzkość, potomność i t. d.

Nauka, sztuka, praca społeczna, moda — wszystko to w wielkiej mierze zawdzięcza rozkwit obowiązkom względem widza. Są one podstawą współżycia społecznego, przyjaźni, nawet miłości. Wypełniając je, zdobywamy się nieraz na czyny bohaterskie, a czasem nawet zbrodnicze.

Bo pamiętać należy, że jeśli nawet nie dbalibyśmy o sąd widzów, bliźnich naszych, nigdy dbać nie przestaniemy o sąd jednego widza, na którym najbardziej nam zależy, którego też najusilniej staramy się oszukać — o sąd widza, którym jest własne nasze „ja".

I dlatego to uczucia i giesty nasze, to istne weneckie zapusty, wieczna maskarada: oto zawiść nasza udaje przed nami szlachetne oburzenie, egoizm przybiera miny skrzywdzonego dziecka, chciwość z niezwykłym talentem gra rolę troskliwego ojca rodziny, bezsilność wykrzywia twarz ironicznym uśmiechem, a brak uznania ze strony społeczeństwa wolimy tłumaczyć sobie głupotą tłumu, dla którego nie mamy wówczas nic, oprócz pogardy.

Ostap Hrycaj.

Krytyk i krytyka.

Słuchałem raz na uniwersytecie wiedeńskim wykładu, poświęconego estetycznemu rozbiorowi „Fausta". Sala była wypełniona po brzegi, może kilkaset rąk zapisywało skrzętnie każde słowo słynnego prelegenta, którym był jeden z autorytetów wydziału. Wchłonąłem w siebie cały wykład. Nie uroniłem ani jednego słowa. I wyszedłem z wykładowej sali pełen gorzkiego rozczarowania. Zrodziło się wtedy we mnie dziwaczne przekonanie, że estetyczne rozbiory profesorów, szczególnie tych, którzy zasiadają w komisji egzaminacyjnej dla przyszłych pedagogów — z najgłębszą istotą artysty nic wspólnego nie mają. Albo będziemy studjowali dzieła artystów, albo estetyczne rozbiory dyplomowanych prelegentów, jedno i drugie ze sobą pogodzić niepodobna. Nie zarzucam słynnemu prelegentowi nieuctwa. Owszem. Dotychczas podziwiam imponujący swoimi rozmiary filologiczny materjał, którym rozporządzał, pozwalający mu na najdokładniejsze komentarze do najdrobniejszej scenki tragedji. Ów z mrówczą skrzętnością zebrany konglomerat śmiesznych czasem drobnostek, dotyczących rzeczy, które dla artysty miały częstokroć trzeciorzędne znaczenie, a które akademicki krytyk traktuje ze świętą cierpliwością Penelopy, w nocy prującej uszyte za dnia, odzienie. Rzeczywiście, — słuchając tego wykładu miałem wrażenie, że prelegentowi udało się dojść wszystkich nitek, spajających całość pojedynczych scen. Dowiedziałem się bowiem, w którym mniej więcej dniu scena została napisana i w jakim nastroju był poeta, gdy ją tworzył. Dowiedziałem się, jakie słowa składały się na pierwotny tekst, a które i w jakim porządku, gdzie, pod wpływem czego lub kogo złożyły się na tekst obecny. Dowiedziałem się także jaki był format pierwszego manuskryptu, jakie koleje przechodził, kto go miał, kto go ma, gdzie ewentualnie przepadł i który z „kolegów" prelegenta nim bliżej zajmuje się. Powiedziano mi z całą pewnością, w jakim stosunku stoi dana scena do podobnych scen w utworach innych ojczystych i obcych poetów, stwierdzono niezbitymi dokumentami ewentualne zawiłości, różnice i podobieństwa, i udowodniono, że geneza tego lub owego ustępu taki, a nie inny chronoligiczny proces wykazuje.

Przez cały czas wykładu miałem wrażenie, że prelegent patrzył się na utwór Goethego przy pomocy promieni Röntgena. Widziałem najdrobniejsze szczegóły jakiegoś martwego szkieletu, a to wszystko, co ongiś — w zaciszu swego pokoju — podziwiałem jako nieśmiertelną życiową piękność wielkiego dramatu, — to wszystko tutaj w tej wykładowej sali bladło, nie — przepadało gdzieś, wzbudzając nudę i niesmak w słuchaczu, szukającym ducha poety. I tak było do końca całego cyklu wykładów. Słynny prelegent pozostał wierny swym zasadom estetycznej anatomji: krajał niemiłosiernie każdą scenę i zwracał uwagę swego audytorjum na nitki i niteczki, spajające olbrzymi szkielet dramatu. A przecież ową oschłą, estetyczną wiwesekcję zatytułowano „krytyczno-estetycznym rozbiorem".

Jednak to zimne, bezduszne przenicowywanie utworu artysty, jakim popisują się nowocześni gramatycy w wykładowych salach uniwersytetów i ich seminarjów, nie powinno i nie śmie rościć sobie prawa do miana prawdziwej krytyki. Rzeczywiście artystyczna — nie filologiczna — krytyka, nie jest komentarzem. Artystyczna krytyka jest świadomomyślowem odrodzeniem tego, co było stworzonem częstokroć w pół nieświadomem uczuciu. Jest więc ona w pierwszym rzędzie syntezą życia, syntezą pod pewnym względem głębszą od syntezy życia zawartej w artystycznym utworze, gdyż synteza krytyka wychodzi poza widnokrąg artysty i wciska w całość istnienia to, co jest tylko jego wycinkiem. Nigdy artysta nie może objąć całości istnienia. Nigdy nie wydobędzie się z pęt swej ludzkiej indywidualności. Jemu — twórcy — omal że niepodobna jest kontrolować stosunku całości swych utworów do życia, gdyż potężne życie wewnętrzne własnej indywidualności robi go pod pewnym względem nieczułym na realne proporcje życia jako takiego. Można nazwać świat artysty światem trzecim. Jest w nim coś z burzliwego życia dnia, jest cisza i głębia owego drugiego świata śmierci i tajemnicy, i jest w nim coś, co tylko sztuka stworzyć może: piękno świadomych głębin istnienia.

Możemy całkiem spokojnie powtórzyć za Szyllerem, że tylko przez bramy piękna wchodzimy w krainę poznania, a więc życiowej prawdy. Problemat sztuki traci powoli tajemnicze, niezbadane rysy Sfinksa. Utwory wielkich artystów przekonują nas coraz bardziej, że piękno artystycznego utworu,

to stopniowe uświadamianie się ciemnych, odwiecznych głębin istnienia, gdyż z każdym rodzącym się genjuszem nowy strumień światła pada na chaos życiowy, krystalizując go w przejrzyste pomniki owej wielkiej niewzruszonej rzeczywistości, będącej potężnym podłożem przemijających, burzliwych i niejasnych dla człowieka momentów kapryśnego dnia. Hegel twierdził słusznie, że to, co jest rzeczywiste, jest rozsądne i na odwrót, wszystko rozsądne nosi na sobie cechy głębokiej rzeczywistości. Stosunek prawdy do rzeczywistości musi być stosunkiem następstwa do przyczyny, wszelka prawda życiowa musi być uwarunkowaną jej głęboką koniecznością w rzeczywistości. Jeżeli więc w utworze sztuki uświadamia się owa tajemnicza rzeczywistość istnienia, a uświadamia się ona tu nie tyle drogą zimnej logicznej dedukcji, jak drogą wrzącego uczucia, to obraz owej rzeczywistości musi na nas robić wrażenie jakiejś tragicznej niczem nieprzebłaganej konieczności, a właśnie wywołanie w nas tej świadomości takiej, a nie innej konieczności życiowych zjaw, — to ostateczne zadanie każdej, głębiej pojętej sztuki. Jej piękno — to najwyższa świadomość istnienia. Genjusz — to najpotężniejszy organ tej świadomości, pod pewnym względem prawodawca życia. Doświadczenia Lombrosów i Toulouse'ów nie potrafią zdaje się nigdy zbić tego niezaprzeczalnego faktu, że ci a n o r m a l n i w swem życiu, dziwaczni, dziedzicznie obciążeni, rozpici i padaczką rzucani geniusze sztuki, tworzą przecież najwyższe n o r m y naszego istnienia, przetwarzają mimowoli ludzi swej epoki na doskonalsze, coraz więcej wrażliwe, coraz więcej myślowe istoty, rozbudzając w nich mianowicie coraz tęższą świadomość życia. Może to przesada, gdy Oskar Wilde twierdzi, że malarstwo nowoczesne przekształca przyrodę. Ale to pewna, że geniusze rzucają wspaniałe mosty między światem ślepego, codziennego chaosu, a wieczystym światem Nieświadomego. I jeżeli wogóle możliwe jest osiągnięcie jakiejś duchowej równowagi wśród rozszalałej walki życiowej, wśród ogłuszającego chaosu dnia to chyba tylko tam, na tym pograniczu Piękna, gdyż dwaj odwieczni wrogowie — chaos i wieczność, wytwarzają rytm jakiejś bolem przepojonej, ale mimo to wyzwalającej harmonji istnienia.

Określając tak istotę artystycznego piękna, wiem, że żądam od artysty pracy olbrzyma, a od prawdziwej sztuki utworów wyjątkowych. Musimy jednak żądać od sztuki tworzenia trzeciego — to znaczy świadomego swych głębin świata, jeżeli mamy jej wogóle przyznać rację bytu. Artysta, który nie dał nic więcej nad obraz powierzchni życiowych, podwaja tylko chaos życiowy i zwiększa w nas przykre, bezmyślne uczucie nieświadomości istnienia. Artysta, który tylko mówi o głębiach Nieświadomego, tworząc retoryczne kostjumy dla zagadek, jakich nie rozwiązuje, tylko je nagromadza, zwiększa w nas bezmyślną trwogę życiową, podwajając ból dnia. Może dlatego właśnie Schopenhauer w swej estetyce kazał umilknąć ślepej ż ą d z y życia wobec przewagi intellektu artysty, że ów twórczy umysł artysty, obnażający wieczystą istotę naszego istnienia, przenosi nas w świat wielkiego w i d z e n i a. W sztuce musimy widzieć więcej jak w życiu. Musimy poznawać siebie, ludzi, świat, przeszłość i teraźniejszość. Życie jest kopciuszkiem wobec sztuki. Biednym, nieświadomym niewolnikiem żądzy i bolu. Dopiero w sztuce przyodziewa królewskie szaty i jest świadomym swej siły władcą. Tu — w sztuce szukać należy duszy świata. Artysta wyczuwa potężne drgnienia tej wszechduszy, zdzierając zjawiskom kłamliwą maskę momentu, dostrzegając ich wzajemne, konieczne zależności i oślepiającą sieć owych bezkrańcowych przyczyn istnienia, które ramionami olbrzymiej potęgi łączą ze sobą wieki. Lessing niesłusznie zadrwił sobie z Corneill'a, mówiąc, że potrafiłby każdy jego dramat przerobić na lepszy. Gdyż właściwie żaden utwór sztuki nie jest absolutnie wykończonym. Jeżeli sztuka jest odbiciem nieskończoności istnienia, jeżeli artysta doszukuje się w zjawiskach momentu owej bezkrańcowej sieci przyczyn i skutków, starając się uchwycić podłoże ich konieczności, to każdy utwór sztuki jest jak „Faust" skończoną nieskończonością. Ta dziwnie tragiczna rozpacz, jaka ogarnia artystę po ukończeniu utworu, to nic innego, tylko owo bolesne uczucie niemocy wobec niewyczerpanej głębi istnienia, przypominającej legendę o dziecku, morze wyczerpującym, które tak boleśnie śmiesznym wydało się św. Augustynowi. Artysta widzi nieskończone widnokręgi życia, ale odtwarzać — o ile przez artystyczne odtwarzanie rozumiemy głębsze uświadamianie zjawisk życiowych — może tylko wycinki. I to ograniczenie twórczej świadomości artysty, to jego najgłębsza tragedja. Odczuł ją Kleist, gdy tworzył swego „Guicarda". Odczuł ją Hebbel, mając pod rękami „Molocha". Czy Ibsen był rzeczywiście tym szczęśliwcem, któremu danym było zakończyć swą twórczość formalnym epilogiem? Ten »Epilog" jego robi niekiedy wrażenie wielkiego prologu. Nie— artysta nigdy nie kończy. Jego synteza istnienia nie wyczerpuje istnienia nigdy. A ten właśnie fragmentaryczny charakter wszelkiej twórczości, ta nieskończoność w pozornej skończoności, suma tych półświadomie tylko odczutych, napomkniętych tylko, niewypowiedzianych, w perspektywie ukazanych momentów istnienia i tajemnic własnej duszy, a poza tem ów nieskończenie subtelny obraz duszy artysty, unoszący się na tle danego temperamentu nad jego utworem, a nigdy niewidzialny, bo niezrozumiały dla tłumu, — to wszystko domaga się, że tak powiem syntezy syntezy, ostatecznego odtworzenia danej twórczości przez kogoś, dla kogo ona jest obcą, a więc oderwaną od „tyranji nieskończoności myśli. Tą powtórną syntezę stwarza krytyk. Krytyka więc jest przetwarzaniem tego samego artystycznego materjału w kierunku skupiającym, podczas gdy sam artysta przetwarzał go w kierunku rozbieżnym. Zadanie krytyki i sztuki jest to samo: chodzi o uświadamianie zjawisk życiowych, o pogłębiony obraz pewnej konieczności życiowej, Ten obraz składa się u artysty z pewnej liczby mniej lub więcej logicznie ze sobą spojonych wycinków. Dla tłumu całość istnienia bowiem u artysty jest — nie bójmy się tego słowa — zawsze jeszcze chaosem. Jest to jednak już świadomy chaos, bo oparty na dostrzeżonej przez artystę prawidłowości życia, którą on zrozumiał i pojął odpowiednio do tych wszystkich momentów, jakie złożyły się u niego na taki, a nie inny sposób reakcji na zewnętrzne wrażenia. Gdyż Zola słusznie zauważył, że sztuka to życie. widziane przez pryzmat danego temperamentu. I Taine ma słuszność, gdy doszukuje się wpływu otoczenia na ten sposób reakcje artysty na zewnętrzne wrażenia Ale to wszystko — temperament i otoczenie to tylko wstęp. Pytaniu Tain'a: dlaczego tak tworzy artysta? przeciwstawiam pytanie: co tworzy artysta? i śmiem twierdzić, że to ostatnie pytanie ważniejsze dla nas jak pierwsze. Krytyce chodzi więc głównie o ten stopień świadomości życia, jaki wzbudza w nas artysta swymi utworami. O sens całości istnienia, przezeń przedstawionego. O stosunek chaosu dnia do potęgi Nieświadomego, ujęty przez artystę. Krytyka rozwiązuje dopiero te pytania. gdyż artysta odpowiada na nie symbolami. Każdy bowiem, najjaśniejszy nawet utwór sztuki jest symbolem Musi nim być, gdyż symbol, to ujęcie tych wspólnych, wiecznie powta-

rzających się cech istnienia, które wytwarzają konieczność. Nowelka Maupassanta jest tak dobrze symbolem, jak i „Komedja“ Dantego, różnicę stanowi tylko wielkość danego wycinku istnienia. Nie rozumiem mianowicie przez symbol koniecznie jakiejś myślowej zagadki w rodzaju postaci w drugiej części Fausta.

Takie symbole to pod pewnym względem myślowe żonglerstwo, które bawi przedewszystkiem akademickich prelegentów, a dla artystycznej krytyki są niepotrzebnym balastem. Dla nas pozostają one martwotą, gdyż nie rozumiemy ich odrazu tak, jak je rozumiał poeta. Prawdziwie artystyczny symbol— to prawda życiowa, ujęta u swej najgłębszej przyczynowości, zrozumiałej dla każdego, kto jest w stanie odtwarzać w sobie świat artysty. Ale artysta tworząc swoje symbole, nie baczy na ich wzajemny stosunek do siebie. Widzi go zaś krytyk. Prawdziwy artysta nie jest doktrynerem. Nie stara się przystosowywać zjawisk życiowych do schematów myślowych. Więc i prawidła nieśmiertelnej przyrody człowieka wypowiedziane są przez niego więcej w formie aforyzmu, jak systematu Za to systematycznie wypowiada je krytyka, stopniując przez to indywidualną świadomość życia, zawartą w całości danej sztuki do ściśle oznaczonego objektywnego światopoglądu. Pod ręką krytyka przemienia się wspaniały, przez artystę otworzony chaos w wielką, świadomą swych głębin całość, wycinki we widnokręgi, a symbol w myśl dnia. Uczucie artysty przechodzi przez ostry filtr myśli, owej zrównoważonej, spokojnej myśli krytyka, która obejmuje najskrajniejsze przeciwieństwa w utworze artysty, szukając ich logiki w danej osobowości.

Krytyk jest więc filozofem danej twórczości. Skupia duchową zawartość jej w jedną, myślową całość i ukazuje nam ową całość na tle realnych widnokręgów życiowych, Krytyk sądzi, gdyż widzi całość danej twórczości w ramach życia i kontroluje, w jakim też stosunku, stosunku zgody czy niezgody, a więc piękna lub dysharmonji, ta twórczość do prawdy życiowej stoi. On — krytyk może z tego stanowiska patrzeć na twórczość, gdyż stoi poza tymi wszystkimi granicami, które ścieśniają artystę. Nieogranicza go przedewszystkiem wrzące uczucie artysty, które doprowadza tegoż częstokroć do solipsismu myślenia i każe mu patrzeć na świat i człowieka wyłącznie ze stanowiska swej osobowości. Nie ogranicza krytyka to wszystko, co Taine nazywał środowiskiem artysty, wobec czego można zarezykować paradoks, że najsprawiedliwiej osądzi artystę krytyk-cudzoziemiec, jako osobnik najdalej od danego otoczenia stojący, podczas gdy ziomek — o ile nie stoi na wysokości ogólnego wykształcenia, podlega w równej mierze tyranji, przesądów środowiska jak i artysta. Może tym wyjaśnimy fakt, że narody stojące na niższym stopniu kultury, nie mają przedewszystkiem artystycznej krytyki, gdyż nie mając zmysłu dla szerszych widnokręgów życiowych, nie mogą kontrolować na podstawie głębszego sądu, w jakim stopniu widnokrąg myślowy artysty harmonizuje z życiem jako takim. Nie ogranicza go także tyranja życia artysty, która częstokroć stanowczy, nie zawsze dodatni, wywiera wpływ na twórczość, doprowadzając do monomanji w wyborze sujetów i formy. To wszystko więc nie ogranicza krytyka, ale jest obowiązkiem jego te ograniczające momenty znać, pogłębić, wyjaśnić i ustawić w szeregu koniecznych przyczyn danej twórczości. Ale na stwierdzeniu tych przyczyn krytyk poprzestać nie powinien. Krytyka artystyczna nie jest archeologją. Żądamy od krytyka sądu, a nie statystyki. Idzie nam o wartość życiowych obrazów artysty, a nie o wytłumaczenie ich powstania. A już wcale obojętny nam jest ów proces powstawania utworu, to drobiazgowe wyliczenie dat i miejsc, pojedyncze partje utworu oznaczające, których znajomość dla głównego preblematu krytyka decydującego znaczenia niema wcale, może mu nawet bez żadnej szkody dla sądu pozostać całkiem nieznanym. Krytyk ma skupiać, nie rozbierać. Wszelkie rozbieranie jest oznaką małostkowego pedantyzmu, dopuszczalne najwyżej w recenzji, ale tutaj brak całości sztuki danego artysty przymusza krytyka do zastanawiania się nad pojedynczymi momentami utworu, chociaż i tutaj metoda musi być ściśle syntetyczna, dążyć powinna do sądu o przypuszczalnej duchowej całości w danym artystycznym charakterze. Recenzja jest tak samo tylko wycinkiem krytyki artystycznej, jak sztuka jest wycinkiem istnienia, lub jeden utwór artysty wycinkiem jego twórczości i już z natury rzeczy nie może być miarodajną — rzadko też kiedy nią bywa — gdyż za mało ma przesłanek, na podstawie których nie tylko wnioskować, ale i sądzić by mogła. Głębiej pojęta krytyka odtwarza człowieka, który tworzył, a nie wyrokuje, jak to robią częstokroć recenzenci — na podstawie prymitywnych widzimisiów lub — są i tacy — cytatów z podręczników estetyki, pisanych przez zawodowych filologów, o piękności tego lub owego miejsca w danym utworze. Krytyka musi wskrzeszać indywidualne człowieczeństwo artysty, nie tylko d u s z ę z b i o r o w ą, jak to robił Taine, gdyż nie zrozumiemy nigdy, dlaczego tak a nie inaczej życie uświadamiało się w artyście, jeżeli nie znamy kierunku, a głównie g r a n i c jego czucia i myślenia.

Jeżeli jednak krytyk odtwarza obraz duszy artysty i sądzi, o ile prawda życia, tą duszą ujęta i przedstawiona, jest realną prawdą, albo godnym uwagi postulatem istnienia, to artystyczna krytyka musi być walką dwóch charakterów. Wykluczam całkiem to dogmatyczne, mdławe stanowisko krytyki, które tylko konstatuje, a nie sądzi, a więc nie walczy z artystą. Wobec tego, że jedyną prawdą istnienia, jest prawda danej osobowości i że innego kryterjum przedmiotowości danego sądu niema, jeno to jedno. wynikające z głębi charakteru — musimy zgodzić się na to, że o wartości sądu krytyki rozstrzyga jedynie głębia jego osobowości. Artystyczna krytyka — to pod pewnym względem walka dwóch świadomości życiowych. Jeżeli najwyższem zadaniem artysty jest uświadamianie chaosu życiowego, a więc ukazywanie wiecznych prawd istnienia, to krytyk nie tylko ma dać skupiony obraz owych prawd, nie tylko złączyć je ze zjawiskami dostrzegalnego dla nas życia — ale musi wykazać wartość i granice tej świadomości życiowej artysty.

Heraklitowskie — „*πάντα ϱεῖ*“ obowiązuje tak dobrze artystę jak i krytyka. Krytyk nie powinien w imię piękna oszczędzać myślowego niedoboru danej twórczości. Jego świadomość prawd życiowych musi być wyższa, jak świadomość artysty, gdyż kultura jego czasu może mu wskazać takie widnokręgi życiowe, o jakich nie marzył twórca. W nim — w krytyku musi życie uświadamiać się z większą energją, jak u artysty. A to plus świadomości życiowej, to przezwyciężenie artysty przez ukazanie większych widnokręgów istnienia, a więc twórczości, to najgłębsza istota wszelkiej artystycznej krytyki, na to miano zasługującej.

Osobistość krytyka musi więc być w równym stopniu genjalną, jak osobistość twórcy.

Jest to postulat kardynalny, gdyż jak może ukazywać granice jakiejś twórczości jednostka, która z twórczością, więc z wyższą świadomością istnienia niema nic wspólnego? Jak może wyrokować

o wartości głębokich prawd artysty człowiek, który nie tylko nie potrafił wchłonąć w siebie duchowej treści danej twórczości, ale i o zwyczajnych zjawiskach dnia nie ma nic do powiedzenia? Nie — nietwórcza, w chaosie i półświadomości dnia tylko żyjąca jednostka, lub tylko reproduktywna, na dogmatach życiowych lub estetycznych opierająca się jednostka nie powinna i nie śmie wciskać się w podwoje artystycznej krytyki, owej wielkiej i trudnej sztuki syntezy piękna i życia, domagającej się od swego pracownika najsubtelniejszej głębi myśli.

Glossy ukraińskie.

Szerokie koła ukraińskie okryła żałobą śmierć wybitnego patrjoty i twórcy muzycznego Mikołaja Łysenki, słynnego autora kilku oper, stukilkudziesięciu melodji do liryków nieśmiertelnego Tarasa i poetów dzisiejszych, i z całego szeregu utworów fortepianowych, kameralnych i chóralnych.

Nagły jego skon inteligienci kijowscy łączą z faktem rozwiązania „Klubu ukraińskiego“ w stolicy rosyjskiej Ukrainy.

Zmarły tak się był przejął tym najnowszym aktem gwałtu, przez carat systematycznie i celowo dokonywanego siepaczą ręką na ukraińskim narodzie w Rosji, że pękło mu serce. To serce, w którym życie narodu, jak w najczulszym resonatorze, odbrzmiewało jękiem niewoli i tęsknotą za wyzwoleniem duszy ukraińskiej, tęsknotą szukającą w chmurach przyszłości gromowego krzyku buntu...

Krwawa pięść wiekowego oprawcy narodów, zakładającego w Galicji przy pomocy sfory psów gończych, coraz to nowe sztuczne wylęgarnie carofilskie, raz jeszcze usiłowała prawem bezprawia zakneblować usta inteligiencji ukraińskiej. I to w tym mieście, gdzie ongiś 30-kilkumilionowy naród miał swoją Akademię, swój Monsalwat, z którego sprytna ręka „Wielkich“ i „Groźnych“ skradła Gral święty, by sfałszowanym blaskiem jego — w ciemnej Moskwie przełupić oczy rodzimych skośnookich ślepców.

Nie dość na tym.

Zgraja zbirów carskich w Kijowie, nie mogąc za życia dostać w swoje szpony przewodniczącego rozwiązanego „Klubu ukraińskiego“ — w osobie Łysenki by go nękać psiarnią sądów ot choćby za tę wywęszoną w księdze korespondencyjnej członków „Klubu“ notatkę, „o potrzebie idejowego wychowania dzieci“, zemściła się — na zmarłym, szykanując jego pogrzeb!

Widocznie upiór biurokratyzmu carskiego czuje moc fatum, które prędzej czy później ciosem ostatecznym przebije mu pierś, żeby już nigdy nie wstawał z mogilnego dołu, — skoro nawet czerwone szarfy pogrzebowych wieńców pachoły w papier pozawijały, ubiegając w tym pewno Sawenków i Filewiczów z ich drukowaną bibułą. Ale to niczem jeszcze wobec faktu niesłychanego, że policmajster sięgnął chciwą ręką po tradycyjny emblemat żałoby — po szkarłatną kitajkę, chcąc zerwać ją z zewłoku Zmarłego! Zgorszył się tym nawet prowadzący kondukt pop i przeszkodził znieważeniu trumny ponurymi słowy: „Astawtie eto! eto majo!“ Policjant powetował to sobie, udaremnieniem obrzędowych czytań ewangelji podczas pochodu i zakazem mów pożegnalnych. Lecz najbrutalniej zemścił się odwieczny wróg kultury na zmarłym, jako artyście-muzyku, przez zatrzaśnięcie okien, w ukraińskim teatrze, tłumiąc uroczyste tony Łysenkowskiego marsza żałobnego z dramatu muzycznego „Doroszenko“, co, wierne ostatniej woli Mistrza, wyleciały za jego trumną, by go na zawsze pożegnać... Nawet srebrnego wieńca laurowego, niby wielka łza złożonego zmarłemu przez Ukraińców galicyjskich, nie zostawiono. Nawet i to „przyaresztowano“, bo lśnił na czerwonym aksamicie, a carat nie może znieść widoku niczego, co mu krew przypomina...

Zaiste, wszystkie te giesty biurokracji rosyjskiej — to już chyba wstręt budzące ruchy tężejącego trupa, którego pogrzeb wkrótce ma oglądać Europa

Sydir Twerdochlib.

Z chwili bieżącej.

Zdawało się czas jakiś, że na skutek pośredniego wniosku namiestnika Bobrzyńskiego (pomiędzy żądaniami jednomandatowych i dwumandatowych okręgów wyborczych) — przyjdzie do jakiegoś porozumienia w sprawie sejmowej reformy wyborczej. Niestety sprawa utknęła z dwu powodów:

1) konserwatyści wciąż jeszcze wątpią, czy się uda wykroić Rusinom, w granicach poprzednich projektów, odpowiednią ilość okręgów wyborczych;

2) pragną wprowadzić kurję średniej własności ziemskiej, mającą 8 miu przedstawicieli, z których połowa składałaby się z Rusinów.

Niefortunny ten pomysł stwarzania nowej kurji spotka się zapewne z oporem ludowców i demokratów, którzy nie zechcą wzmacniać jeszcze przewagi żywiołów zachowawczych, przez stwarzanie tej nowej kurji.

Sprawa sejmowej reformy wyborczej, pod wpływem zatargów międzynarodowych zeszła jakby na plan dalszy. Kwestja jednak możliwości wojny nie powinna jej usuwać, tymbardziej, że dziś jeszcze niepodobna twierdzić czy wybuchnie ona, czy nie. Należałoby koniecznie podjąć energiczną akcję za sejmową reformą wyborczą.

Ukraińska socjalna-demokratyczna partja wydała odezwę przeciwko interwencji Austrji na Bałkanach, zaznaczając, że, w razie wojny jej z Rosją, proletarjat ukraiński, z całą energją wystąpi przeciwko caratowi.

Wojna i zawikłania międzynarodowe.

Postępy sprzymierzonych wojsk państw bałkańskich dały się tak silnie uczuć Turcji, że ta obecnie już bezpośrednio pertraktuje z Bułgarją nietylko o zawieszenie broni, lecz i o pokój. Z drugiej strony nawet Bułgarja ten najzasobniejszy wróg Turcji jest już znacznie wyczerpana wojną, skutkiem ogromnych strat w ludziach. Wszystko więc przemawiać się zdaje za tym, że wojna już prędko ukończoną zostanie. Dalsze jej trwanie dla stron obu jest nader ciężkie.

Naturalnie zawarcie pokoju zależeć będzie od warunków, jakie małe państwa bałkańskie postawią Turcji.

Moment krytyczny dla pokoju europejskiego zbliża się więc.

W ciągu dni ostatnich, nastąpiło jak gdyby pewne załagodzenie stosunków pomiędzy Austrją a Rosją, spowodowane przez rzekome oświadczenie rządu rosyjskiego, że żądań serbskich, dotyczą-

cych posiadania portu na Adrjatyku — popierać nie będzie.

Zarysowały się też projekty kompromisowe. Chodzi o to aby Serbja posiadała port czysto handlowy nad Adrjatykiem, bez prawa posiadania w nim okrętów wojennych. Czy Austrja się zgodzi na powyższą konkurencję? Tego nie wiemy.

Sądząc z prasy rosyjskiej ma się wrażenie, że nietylko społeczeństwo, a raczej jego większość, lecz także i rząd dąży do wojny.

Nawet prasa liberalna, poza tonem zewnętrznie dość spokojnym, wykazuje tendencję do czynnego poparcia Serbji przez Rosję. Odrzuca ona pomysł dania Serbji portu nad morzem Egiejskim, i upiera się przy żądaniu Serbji — osiągnięciu dostępu do Adrjatyku, choćby tylko w postaci wyłącznie handlowego portu.

Postawa Czarnogórza budzi też poważne wątpliwości w sprawie utrzymania pokoju.

Być może, że Rosja i Serbja zwlekać będą z ostateczną decyzją aż do ukończenia wojny, aby, po zawarciu pokoju z Turcją, później z tym większą siłą obstawać przy swoich maksymalnych żądaniach. Dlatego też Austrja zająć powinna pozycję stanowczą, zarówno wobec Rosji, jak i Serbji, dla której port nad morzem Egiejskim powinien wystarczyć.

Tylko odosobnienie Rosji, w stosunku do Anglji i Francji — w sprawie portu serbskiego, może ją powstrzymać od czynnego poparcia Serbji.

Ludwik Kulczycki.

Z teatru.

(**Franciszek Villon,** romantyczna komedja w 4. aktach Leona Lenza, przełożył Adam Krajewski).

Poprzez komedję Lenza przewija się motyw snu. Ludwikowi XI. śniło się, że przemieniony w świnię, ryjąc w błocie wygrzebał perłę o świetnym blasku i wprawił ją w swoją koronę królewską; kiedy zaś ocknął się ze snu, ujrzał spadającą gwiazdę. Franciszek Villon, wartogłów i poeta, śni — co prawda na jawie — o tym, jak wspaniale rozwijałaby się Francja pod jego rządami, gdyby on sam był jej królem a nie taka świnia w koronie, jak Ludwik XI. Ów sen, zaklęty w strofy wiersza dochodzi uszu królewskich w chwili, kiedy go wygłasza sam poeta przed publicznością, złożoną z opryszków i nierządnic w jakiejś zakazanej tawernie, do której nocą w przebraniu w towarzystwie swego miecznika zachodził także Ludwik XI., by móc swobodnie — wzorem Haruna al Raszyda — śledzić nastrój opinji i uczucia swoich poddanych. Tak tedy nieszczęsne rojenia poety Villona, zbliżają go pomimo woli do wysokich sfer dworskich, sposobem jednak zgoła niepożądanym. W dodatku, przedtym jeszcze, Villon oszołomiony pięknością jednej damy dworu, niejakiej Katarzyny de Vaucelles — którą raz widział był w kościele — przesyła jej namiętny erotyk, który ona odczytuje kanclerzowi Thibeaut d'Aussigny, poczym ten ostatni z zazdrości o panią swego serca każe płatnym drabom obić sromotnie poetę. Tu jednak rzecz się komplikuje, pozornie nawet na korzyść Villona. Panna de Vaucelles nienawidzi kanclerza i chce go się pozbyć. W tym celu udaje się do gospody „pod szyszką" i żąda od Villona, aby on zadokumentował swą miłość ku niej zamordowaniem kanclerza. Szlachetne serce Villona wzdryga się na samą myśl o skrytobójstwie. Postanawia więc w otwartej walce uporać się z rywalem i to natychmiast, ponieważ kanclerz, stojący na czele spisku, który ma obalić Ludwika XI. za chwilę zjawi się we wspomnianej gospodzie, by odbyć naradę z resztą sprzysiężonych. W pojedynku lekko ranny kanclerz cichaczem uchodzi, całą zaś zebraną w gospodzie kompanję straż odstawia do aresztu. Villona natomiast bierze w opiekę sam król, któremu się zdaje, iż już poniekąd ziszcza się jego sen o perle.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że królowi na serjo zależy na ocaleniu Villona. Wyrafinowanie okrutny, dyplomata chytry i podejrzliwy, zarazem jednak niezmiernie zabobonny pragnie pragnie tylko wytłómaczenia swego snu. Uważa że „litość nie jest królewskim uczuciem". Każe tedy uśpić Villona, przyodziać go w kosztowne szaty, następnie po przebudzeniu mianuje go konetablem państwa, lecz tylko na przeciąg dni siedmiu. Po upływie tygodnia ma Villon za obrazę majestatu zawisnąć na szubienicy. Na gorące błagania Villona król reaguje nie litością lecz podstępem. Przyrzeka mianowicie darować życie Villonowi w razie, jeśli do tygodnia uda mu się pozyskać serce dumnej Katarzyny de Vaucelles i pojąć ją za żonę. Katarzyna, która w występującym obecnie pod zmienionym nazwiskiem, nowo mianowanym kanclerzu nie domyśla się dawnego Villona, stawia warunki bardzo ostre: temu tylko odda swą rękę, kto uratuje Francję. Tylko prawdziwemu mężczyźnie a więc bohaterowi wolno pokusić się o jej wdzięki. „Moja duma, to honor ojczyzny!" woła z emfazą w odpowiedzi na wynurzenia miłosne Villona. — Nowy kanclerz rządzi mądrze i łagodnie, udaremnia nawet zamach na króla i zdobywa w końcu rozpłomienione podziwem dla jego charakteru i mądrości, zimne dotąd serce Katarzyny. Z tą chwilą jednak, kiedy nie umiejący grać komedji Villon zdradza Katarzynie swe właściwe nazwisko, ona ze wstrętem od niego się odwraca i prosi króla, aby go pozbawił władzy i urzędu oraz przepędził precz z dworu. Nie znalazł łaski w jej oczach człek nizkiego rodu a poza tym — wstyd powiedzieć. — „tylko" biedny, genialny poeta... Mimo to, jednak, niezrażony niczym, Villon w krótkim, oznaczonym przez króla terminie dokonywa wszystkiego, czego dla podźwignięcia Francji z upadku i przywrócenia jej dawnej świetności i potęgi dokonać było można. Pobiwszy w zwycięzkiej walce nieprzyjaciół na głowę, wraca Villon w siódmym dniu swego kanclerstwa do Paryża, entuzjastycznie witany przez ludność, która czci w nim tryjumfatora i zbawcę Francji; w tym samym dniu, zgodnie z wolą królewską ma być stracony. Król, bojąc się zaburzeń, skłonny jest darować życie Villonowi w razie, jeśli kto dobrowolnie zań się poświęci. Oczywiście nikomu nie śpieszno zawisnąć na stryczku. Dopiero, kiedy herold po raz wtóry okrzyknął wolę królewską, przeciska się przez tłum matka Villona, gotowa ponieść śmierć za ukochanego syna. Lecz król jej ofiarę odrzuca, tłumacząc z dziwnie okrutną sofisterją, że dwa razy nikomu życia dać nie można. Wreszcie zaś, druga z kolei i ostatnia poczuwająca się do obowiązku ratowania kochanka, Katarzyna de Vaucelles oświadcza, iż zaraz tu na miejscu poślubi Villona po to, aby tenże stał się jej wasalem a tym samym równocześnie wyzwolił się — na podstawie praw ówczesnych — z pod zwierzchnictwa władzy królewskiej. Lecz Villon, „szaleństwu swojemu wierny" do ostatka, potrafi jeszcze wyrzec się tej zbyt trzeźwej, zbyt wyrachowanej przysługi Katarzyny, zwłaszcza, iż, jak sam wyznaje, miłość jego ku niej, która dawniej jaśniała tak cudnym światłem, zbladła i zgasła, jak gwiazda spadająca. Królowi w tej chwili zdaje

się, iż z wypowiedzeniem tych słów podniosła się niejako ostatnia zasłona, ukrywająca dotąd tajemnicę jego snu. Ułaskawia tedy Villona z prośbą, aby nadal piastował urząd kanclerza Francji. Franciszek Villon jednak wolj powrócić do swej kompanji w gospodzie „pod szyszką", gdyż — jak powiada — może być tylko królem lub — poetą...

Komedja Lenza, nieznośnie rozwlekła, pisana stylem konwencjonalnie poetycznym a więc rojąca się od zużytych przenośni, mdłych obrazów i starych, jak świat, porównań, — mimo wszystko zaciekawia utajoną w niej symboliką oraz samym właśnie komedjowym opracowaniem treści — jak widzieliśmy — na wskróś dramatycznej.

Główną rzeczą w tej komedji są sny. Cała akcja jest właściwie tylko ilustracją królewskiego snu. Król śni samego siebie, jako świnię, która umiała tarzając się w błocie odnaleźć perłę. Król w skrytości serca czuje, że się do władzy nie nadaje. Zniedołężniały, zasmakował w okrucieństwach i do cna zwyrodniał. Posiada jednak niepowszedni zmysł psychologiczny i mógłby sobie już dobrać kogoś, kto się rozumie na sztuce rządzenia państwem. Lecz pycha, nałogi despotyczne są bodźcem do nieustannego oszukiwania siebie. Król powinien się przedewszystkiem bawić i dawać folgę swym kaprysom i swym.. snom. Nie zawadzi też czasem zainscenizować komedję, przeinaczyć rzeczywistość w lepszą, niźli była przedtym, w taką, jaką być powinna — lecz nie na długo, na tydzień najdalej.

Zresztą sen zawsze bywa tylko fragmentem i nikt swego snu do końca nie wyśni...

Komedja Lenza w wykonaniu naszych artystów wrzała pełnią barw i życia. Nazwisk poszczególnych wykonawców nie wymieniamy, gdyż wszyscy dali z siebie to, co mogli, a dali bardzo wiele.

Jan Lipszyc.

Nowe książki.

Andrzej Galica: „Robert Szporn" — dramat w czterech aktach. Spółka nakładowa „Książka". Kraków 1912. — Okładka Leona Czechowskiego. Str. 93.

Ciężka, przygnębiająca, zaczadzona trującym zadurem, atmosfera epopei górniczej z „Germinal'u" Zoli, ostry syk, czy zgrzyt pieśni robotniczej z „Tkaczy" — Hauptmana, tajemnicza, nerwowa, przytłumiona cisza, rozgorączkowana urwanymi słowami — głębia, „Wnętrza" Maeterlinckowskiego, — wszystko to stłoczone, wyciśnięte z soków żywotnych, pozbawione pierwotnej siły, wykoszlawione naiwnymi pomysłami wsączyło się cienką strugą w dramat p. Galicy. Jest w nim wszystko ze zdobyczy współczesnego dramatu. Widać zakusy na wielkie rzeczy, błąkają się motywy, które mogłyby być silnymi, znać pojętność autora — brak tylko spójności, brak rdzenia tragizmu, brak jedności wokół której koncetrowałyby się wszystkie pomysły podrzędne, tak nowożytne i tak pełne problemów technicznych. Trudno osądzić czy to bezradność autora wobec cisnących się nastrojów, czy też niezupełnie dojrzałe przemyślenie dramatu, niezupełne ociosanie z sęków i gałęzi pnia, które z nim o pierwszeństwo konkurują!... Niemoc wobec materjału, czy nienależyte przetrawienie i ujęcie tematu jest powodem rozluźniania się treści.

Robert Szporn, który ma być bohaterem akcji, osobą wokół której koncentrować się winny wszystkie postacie, tembardziej godny, swego losu bohatera. że w całym I-ym akcie o nim tylko mowa (jego zaś samego niema na scenie — jest dla czytelnika — tylko dyrektorem szybów kopalnianych. Rodzina Skodów pomyślana „epopejowo" — mogłaby być bohaterską rodziną — wymyka się jednak z pod ewidencji czytelnika, który ma odrazu do czynienia z pogwałceniem Stefki przez Szporna, zawaleniem szybu, strejkiem, telefonem, synem Szporna itd. itd. Zawalenie szybu oczekiwane niby narodzenie „Intruza" mogłoby być jako nastrój główny, machiną dramatu w rodzaju Maeterlinkowskim — cóż kiedy wszystko rozszczepia się, rozpływa, uchodzi i nie pozostawia żadnego śladu... Nastrój rozbija się o tysiące innych spraw poruszanych w dramacie, szkicowanych ledwo i to ogólnie znanymi konturami.

Ten brak kręgosłupa w dramacie czyni go tylko niezdatnym na scenę. W czytaniu więcej zajęci szczegółami, którymi dramat p. Galicy jest przeładowany, spotykamy wiele miejsc nawet ładnych, że wspomnę rozmowę matki z Anną w I-ym akcie. Lecz i w czytaniu odbija się na dramacie wielka erudycja autora, oraz przejęcie się technicznemi łamańcami współczesnych dramatów a la Bernstein. P. Galica chciałby uchodzić za dobrego architekta — lecz scena podobna do opisanej w III-im akcie z obłąkaną dzwoniącą kajdanami, która naśladować miała grozę wiejącą z dramatu Maeterlincka — jest tak naiwną, że pobudza wprost do śmiechu! Inna scena w biurze Szporna, zapewniająca że za oknem strzelają do tłumu odbywa się — kto zgadnie?! — między Szpornem a słuchawką telefoniczną. Zresztą telefon jest p. Galicy nieocenionym *facteur-moteur* w dramacie, czego nie potrafi wypowiedzieć zapomocą sytuacji naprawdę groźnej, naprawdę dramatycznej — to nadinżynier szybów kopalnianych Szporn wypowiada do słuchawki telefonicznej! O nędzy natomiast górników dowiaduje się czytelnik także w biurze Szporna, gdy żony i dzieci górników zjawiają się, by otrzymać zapomogę z kasy nagłej śmierci.

W głowie bezwątpienia p. Galica roił przecudny i wszechpotężny sen epopei dramatycznej w rodzaju „Nibelungów" Hebbla, w rzeczywistości — rozmowa przy telefonie... W głowie marzył pewno o rozświeceniu tysiąca słońc — w rzeczywistości dał tylko kilka nikłych światełek, zabarwionych płowem naśladownictwem Zoli, Hauptmanna, Maeterlincka.

Może jako powieść lub nowela, dramat p. Galicy nabrałby więcej wartości — lecz jako dramat skrzypi suchymi kołami, rozjeżdża się jak stary wóz i jeszcze raz potwierdza staropolskie, znakomite, przysłowie — że nie trzeba iść — „z motyką na słońce". *Edmund Semil.*

Prof. dr. Goldstein: Nowe drogi w filozofji współczesnej. Warszawa—Kraków 1912.

Tragedją współczesnej myśli filozoficznej jest przepaść, oddzielająca wyniki filozofji monistycznej od najgorętszych pragnień jednostki ludzkiej, chcącej żyć wiecznie, chociażby innym niż nasze życie, poszukującej jakiejś myśli, jakiegoś celu w bycie Wszechświata...

Filozofja, opierając się na naukach ścisłych, doszła do mechanistycznego na świat poglądu, sprowadzając zjawiska wyższego rzędu, do zjawisk niższego rzędu, czy to formie bezpośredniej i jasnej, czy też w zamaskowanej.

Wszystko co nas otacza blisko i daleko, wraz z nami samymi stanowi wedle tej filozofji — zamknięte koło zjawisk, do którego nic z zewnątrz wejść nie może.

Przeciwko tym wynikom myśli filozoficznej, wzorującej się na naukach fizyko matematycznych — powstała reakcja w imię życia, jego potrzeb moralnych, która ostrze swojej krytyki skierowała przeciwko wszelkim formom racjonalizmu, i zaatakowała przedewszystkim monizm, zwalczając pojmowanie świata jako zjawisk, sprowadzających się, w ostatecznej analizie, do procesów przyrody martwej (nieorganicznej). Procesom mechanicznym w świecie nieorganicznym, dającym się ściśle ująć i wymierzyć, przeciwstawia nowa filozofja — życie, wiecznie twórcze, nowe, niedające się całkowicie wymierzyć i przewidzieć; poglądowi na świat jako na szeregi zjawisk — tworzących koło zamknięte — przeciwstawia ona inny, dopuszczający przenikanie do zjawisk czynników nowych, metafizycznych.

Wedle nowych tych poglądów, filozofja nie może się opierać tylko na wynikach nauki, lecz musi także uwzględnić wszystkie potrzeby człowieka, wszystkie jego doświadczenia, zarówno objektywne, będące właściwością wszystkich, jak i subjektywne,— naukowe, jak i religijne. Słowem, nowy kierunek pragnie przeciąć wyłączny związek nauki z filozofją i przeciwstawić mu inny — filozofji z etyką i religją.

Praca dr. Goldsteina, w sposób zwięzły, zarazem jednak dość jasny i ścisły przedstawia ten tragizm współczesnej myśli filozoficznej. We wstępie przedstawia ona ogólnie czynniki, które wpłynęły na podkopanie dawniejszego kierunku filozoficznego. W rozdziale pierwszym omawia podstawowe założenia racjonalizmu, w rozdziale drugim jego upadek, a w trzech następnych poglądy filozoficzne Jamesa, Bergsona i Euckena — twórców nowszej filozofji. Książka stanowi zaokrągloną całość, wprowadzając czytelnika w dziedzinę najistotniejszych punktów spornych w filozofji współczesnej.

Wszystkie sympatje autora są po stronie nowej, a właściwie najnowszej filozofji.

Nie możemy tu, dla braku miejsca, omawiać szczegółowo zagadnień poruszanych przez Goldsteina, i poprzestaniemy tylko na kilku uwagach.

W nowym kierunku filozoficznym spotykamy różne pierwiastki, których znaczenie jest bardzo rozmaite. Niektóre z nich są bardzo żywotne, inne stać się mogą źródłem poważnych zboczeń na drodze rozwoju myśli filozoficznej, inne wreszcie są jałowe.

Pod względem samego pojmowania filozofji — nowy kierunek zajmuje albo chwiejne, albo wręcz błędne stanowisko.

Filozofja nie może spełniać zarazem dwu ról t. j. dawać nam poglądu na świat, wynikającego ze ścisłych badań naukowych, dopełnionego przez hipotezy, nie znajdujące się z nimi w sprzeczności, i zarazem czynić zadość naszym choćby najnaturalniejszym pragnieniem uczuciowo moralnym.

Nasze pragnienia mogą się znaleźć i często się znajdują w sprzeczności z wynikami badań naukowych, a wówczas filozofja, któraby wbrew nim chciała, dla pocieszenia nas — wyniki te odpowiednio zmieniać — byłaby czymś dziwacznym, co nie jest ani nauką, ani religją, ani sztuką, lecz mieszaniną tego wszystkiego, pozbawioną powagi, szczerości i wszelkiego znaczenia.

Następujący ustęp wykazuje to chwiejne pojmowanie filozofji przez Goldsteina:

„Jeżeli można dowieść, mówi on, że w nauce i w naukowem ujęciu świata zawarty jest również stawiający sobie cele i pragnący ich urzeczywistnienia człowiek, że nauka nie jest czymś, co zostaje nam narzucone z zewnątrz; jeżeli da się wskazać, że w ostatecznych, podstawowych twierdzeniach nauki posiadamy tylko fakty, k óre mogą być zmienione przez dalsze doświadczenia, nie zaś aprioryczne konieczności rozumowe, — wówczas doznania życia religijnego i etycznego mają równe prawo wpływania na obraz świata, kreślony przez filozoję, jak i doświadczenie badań naukowych". (str. 109 i 110).

Otóż doznawania moralne i religijne wówczas tylko stać by się mogły czynnikami, wchodzącymi w skład systematów filozoficznych, gdyby były powszechnymi, gdyby wszyscy ludzie odczuwali je, choćby tylko w punktach zasadniczych, jednakowo.

Zjawiska jednak, które James zalicza do kategorji „doświadczeń religijnych" nie mają bynajmniej powszechnego charakteru, nie mogą więc i nie powinny wpływać na systematy filozoficzne, mające nie tylko indywidualny, lecz powszechny charakter. Takie pomieszanie dziedzin religji i filozofji nie jest pożyteczne dla żadnej z nich.

Nowy kierunek filozoficzny ma natomiast dodatnie znaczenie w tych punktach, które dotyczą krytyki niektórych panujących dotychczas, a zbyt pośpiesznie przyjętych twierdzeń naukowych, do których zaliczyć należy np. monizm, polegający na uznaniu tylko jednego pierwiastka świata, którego przeobrażenia dają wszystkie znane nam zjawiska.

Do takich przedwczesnych twierdzeń należy np. sprowadzanie wszystkich zjawisk psychicznych do czynników biologicznych, a tych do psychofizycznych.

Nauka i filozofja grzeszyły dotychczas często dążnością do zbytniego upraszczania zjawisk, do gwałtownego ich upodabniania.

Tu przypomnieć należy, że zwalczany dziś pozytywizm, w czystej swej formie, ostrzegał przed podobnymi błędami. Wszak Comte twierdził, że każda kategorja zjawisk więcej skomplikowanych, zawiera w stosunku do prostszych coś nowego, chociaż sam nie zawsze trzymał się tej zasady, uważając np. psychologję jedynie za dział bjologjl.

Błędem historji materjalistycznej i monistycznej (będącej najczęściej zamaskowaną jej formą) — było to, że zamykała ona oczy na cały szereg istotnych faktów, będących przedmiotem powszechnego doświadczenia, których należycie wytłómaczyć nie mogła.

Monizm ani panteizm np. nie może zadawalająco wyjaśnić wpływu czynników fizycznych na psychiczne i psychicznych na fizyczne. To też, w czasach ostatnich zauważyć się dają pewne tendencje dualistyczne, nie tylko już w filozofji, lecz nawet w psychologji. Filozofja materjalistyczna i monistyczna dała nam przedwczesny obraz świata. Istotne, doświadczenie i filozofja na nim oparta nie wypowiedziały jeszcze swojego decydującego słowa. Przed naszymi oczyma otwierają się nowe zupełnie światy zjawisk, które mogą z gruntu obalić utarte dotychczas poglądy nasze, stwarzając grunt dla nowych, nie tak beznadziejnych jak tamte.

R. W.

Redakcja uprasza panów księgarzy i wogóle wydawców o nadsyłanie jej egzemplarzy recenzyjnych nowych książek. O każdej z nich zamieszczane będą sprawozdania.

Prenumerata „Nowego Prądu" we Lwowie 12 kor. rocznie, 3 kor. kwartalnie, 1 kor. miesięcznie z odnoszeniem do domu. Na prowincji w Galicji, w Austrji i zagranicą 13 kor. 60 hal. Administracja i Redakcja otwarta codziennie od 10 rano do 12 w południe i od $2^1/_2$ do 5 po południu. W niedziele i święta od 10 do 11 rano. **Cena pojedynczego numeru 30 hal.**

Związek Urzędników i Urzędniczek prywatnych

dla Galicyi i Szlązka

we Lwowie, ul. Batorego l. 11. I. p.

Rachun. czek. Poczt. Kasy Oszczędn. Nr. 120.504.

Organizacja czysto zawodowa, do której powinien należeć każdy, kto pracuje w jakiejkolwiek instytucji prywatnej, bez względu na stanowisko, przekonanie polityczne, wyznanie i płeć.

Związek Urzędników i Urzędniczek prywatnych, dla Galicji i Szlązka, ma na celu: obronę interesów moralnych i materyalnych swoich Członków, którym ofiarowuje:

1) bezpłatne korzystanie z czytelni, biblioteki, odczytów, pogadanek i t. d.;

2) bezpłatne biuro pośrednictwa pracy;

3) bezpłatną poradę prawną po 3-miesięcznem; a bezpłatną pomoc po 6-miesięcznem członkowstwie;

4) zapomogę w czasie braku zajęcia (po jednorocznem członkowstwie) oraz w innych godnych uznania wypadkach koniecznej potrzeby;

Ponadto otrzymują Członkowie Związku bezpłatnie organ oficyalny Związku „Społem“, oraz korzystają ze zniżek do „Ula“, Colosseum, niektórych Kino-teatrów, wanny i parni Anny i t. d., które Związek dla swoich członków uzyskał.

Wpisowe K 2. — Wkładka miesięczna K 2.

Biblioteka Związku wypożycza książki zupełnie bezpłatnie w poniedziałki, środy i piątki od godz. $7^1/_2$ do $8^1/_2$ wiecz.

Czytelnia Związku otwarta jest codziennie przez cały dzień do godziny 11-tej w nocy.

Zgłoszenia na członków

ustne lub pisemne przyjmuje Sekretarjat Związku ul. Batorego 11 codziennie od godziny wpół do 7-mej do 9-tej wieczór.

Wysyła się bezpłatnie statut Związku, przekazy Pocztowej kasy oszczędności, deklaracje przystąpienia i numera okazowe „Społem“.

Miesięcznik „SPOŁEM“,

Organ Związku urzędników i urzędniczek prywatnych, dla Galicji i Szlązka, wychodzi 1-go każdego miesiąca. Zaprenumerowywać można każdego czasu.

Cena Koron 2·— rocznie.

DRUKARNIA UDZIAŁOWA, LWÓW, KOPERNIKA 2. **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Ludwik Kulczycki.**

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KUL